



(837)

ROK XVI

47

POGRZEB KRÓLA
Fotoreportaż:
Włodzimierza Parysa



Kazimierz Jagiellończyk
był jednym
z wybitniejszych
władców Polski...



ODGŁOSY

ŁÓDŹ, 22 LISTOPADA 1973 ROKU

TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA: 3 ZŁ

MAREK WAWRZKIEWICZ

ODESSA

Nie widziałeś? I chcesz tak wyjechać? To wykluczone! — zawyrokował jeden z moich przyjaciół.

Oszalałeś? Największy w Związku Radzieckim! Musisz go zobaczyć — dodał inny.

Powiedzieć mieszkańcowi Odessy, zakochanemu w swoim mieście, że — łagodnie to określając — odrobinę kolorzyje, wydawało mi się trochę ryzykowne. Toteż bez szemrania wysłuchiwałem opinii, że jest to miasto o największym w całym kraju procencie nasycenia powietrza jodem, że tu właśnie jest najwięcej słonecznych dni w roku... Przyjmowałem te twierdzenia bez protestów, tym bardziej, że początek października w Odessie był prawdziwie upalny, a platany i akacje były tak samo zielone jak wiosną. Toteż w sobotnie popołudnie udałem się z rozjaśnioną twarzą na zwiedzanie „największego w Związku Radzieckim „priwozu”.

„PRIWOZ”

„Priwoz” — to po prostu rynek, miejsce, gdzie zjeżdżają się w określone dni kołchoźnicy z pobliskich kołchozów objuczeni tym, co wyhodowali w swych działkach przyzagirodowych. Odesski „priwoz” jest istotnie imponujący. Na półtorakilometrowej przestrzeni stoją gęsto, jeden przy drugim, ustawione w kilka rzędów stragany. Tłum sprzedających i kupujących.

Cała dzielnica straganów, na której rycen krokuje to, co parę godzin temu zerwano z drzewa lub krzaka. Góry pomidorów — różnokolorowych i różnokształtnych. Jajka nie spotykanych rozmiarów. Złociste grusze — tak delikatne, że nie wolno ich dotykać, bo zaraz czernieją. Arbuzy, dynie, sliwy, brzoskwinie i granaty. Papryka różnych odmian i kabaczki. I jeszcze jakieś owoce, których nazwać nie umiem, bo ich nigdy przedtem nie widziałem.

Zaraz obok rozpoczyna się obszerna przestrzeń, gdzie można kupić wszystko, co zostało zamarynowane, zasolone lub zakiszzone. Nikt przy zdrowych zmysłach nie kupuje tu „na oko”. Jest to królestwo „próbowania”. Próbuje się więc kapustkę „bielutką, jędrniutką, nie przesoloną”, kiszony pomidorok na zielono, żółto i czerwono, małosolne ogórki, bez których w określonych sytuacjach obejść się nie sposób i marynowane kabaczki, które — powiedzmy to sobie otwarcie — jako zakąska są niezastąpione. Jeszcze parę kroków i już zaczynają się stragany pełne gipsowych figurzek, niezwykle urodzliwych w swej brzydotcie i kap na łódkę, których kompozycje kolorystyczne-figuralne najlepiej można określić słowem — niesłychane. A dalej — kraina rzeczy tajemniczych. Tu można kupić płyn rozpuszczający żylki — mikstura taka jest ponoć jedynym lekarstwem na ischias. Adamowy korzeń — wybaczenie, ale tak to się nazywa — ma być gwarantowanym lekarstwem na reumatyzm i artretyzm. Lub inny korzeń — „złoty” — rosnący wysoko w górach Kaukazu. Informację o tym, że rozpuszczony w spirytusie jest cudownym lekiem na dolegliwości wątroby przyjąłem z nie-

dowierzaniem, acz nie bez sympatii. Nakreśliłem tu kilka linii podziękowań, ale w gruncie rzeczy podział przebiega gdzie indziej. Odesski rynek dzieli się na dwie części: na tych, dla których wszystko jest za tanio i na tych, którzy mówią „za drogo”. Ci pierwsi — to rzecz jasna sprzedający, ci drudzy — kupujący.

— Po ile te suszone grzyby?
— Czterdzieści rubli kilogram.
— Oni już zupełnie powariowali — mówi zażywna kobieta w nieokreślonej przestrzeni. Ale od straganu nie odchodzi. I ja z roli biernego obserwatora przechodzę na bardziej aktywne pozycje.

— A te pomidorki — po ile?
— Szesćdziesiąt kopiejek.
Silna ręka jakiegoś mężczyzny odciąga mnie od straganu.
— Szesćdziesiąt kopiejek! Wymyśliła — mówi ten mężczyzna, nie mogąc dopuścić do tego, aby ktoś z jego obrotu został tak niecieńczo oszukany.
Na styku dwóch solidarności — kupujących i sprzedających — powstaje nieopisany krzyk, szum i hałas. I ogłuszony walką dwóch formacji wychodzę z rynku. Miałem tylko oglądać. A tu proszę: kilogram gruszek, arbuzy, duża drewniana warząchew, po co ja ją kupiłem? — gipsowy gwizdzący kogucik i wianuszek papryki, której oddziaływanie na zmysł smaku można porównać jedynie z dynamitem.

Odesski „priwoz”. Nie wiem, czy istotnie największy w kraju. Ale sądzę, że najgłośniejszy i najbardziej sugestywny.

SWOJSKIE CENTRUM

Najbardziej lubię tę część miasta zawartą między ulicami Puszkiniwską i Lenina, między bulwarem nadmorskim a dworcem kolejowym, który swą architekturą bardziej przypomina jakiś dziewiętnastowieczny teatr operowy. Ten kwartał miasta jest jego centrum, powinno tu być najgłośniejszy i nairuchliwiej, ale zabomi na sie o tym, kiedy się trafi w jedną z cichych uliczek: uliczków w planach, sekwojach i akacjach, uliczek,

Dalszy ciąg na str. 7



„REFORMATORZY”

Nawiązując do artykułu „Reformatory” z nr 37 Waszego pisma (16. 09. 73) uprzejmie donoszę, że dnia 28. 09. 73 r. listem zwykłym (nie poleconym) otrzymałem pismo następującej treści:
„Obywatel Andrzej Jakuszeński, asystent PWSSP w mieście

Łódź, 22 listopada 1973 r.
W związku z dalszymi zmianami organizacyjnymi w uczelni w roku akademickim 1973/74, wynikającymi z wdrażania nowego programu (zmniejszenie ilości pracowników oraz limitu przyjęć na studia) odwołuję Obywatela z dniem 30. 10. 1973 r. ze stanowiska asystenta w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi i z dniem tym rozwiązuję stosunek pracy za uprzedzeniem 3-miesięcznym wypowiedzeniem, które rozpoczyna się dnia 1. 07. 1973 r. Podstawa prawowa: art. 28 ust. 1 karty praw i obowiązków nauczyciela (Dz. U. Nr 16 z 1942 r. poz. 114).

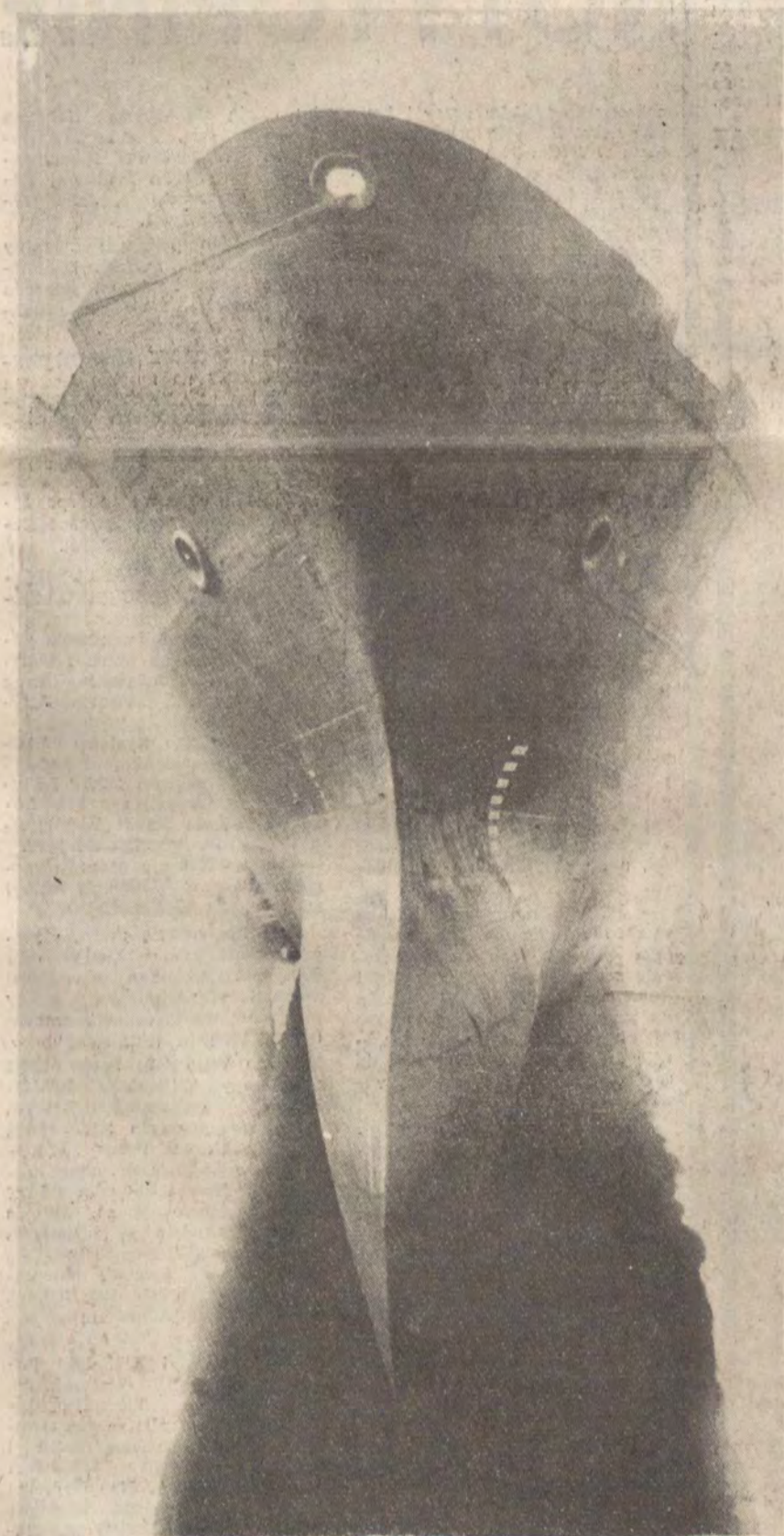
Kierownictwo uczelni dziękuje za dotychczasową współpracę.
Rektor — doc. ROMAN ARTYMOWSKI”

Ponieważ w dniu tym u przez następnego miesiąca moje sprawy osobiste nie są związane z tym, co było przedmiotem tej sprawy osobistej (jak się później okazało — słusznie — bowiem w uczelni nie miałem tego z kim załatwić, z powodu panującej nieobecności osób kompetentnych). Wobec tego dnia 2. 10. 1973 r. wystąpiłem listami poleconymi do Rektora uczelni oraz do wiadomości kierownika Katedry Podstaw Kompozycji, ob. doc. T. Jaskiewicza oraz do niego bezpośrednio przelozonego, prowadzącego przedmiot „Podstawy Kompozycji” ob. A. Łobodzińskiego. Jednocześnie przesyłałem pismo następującej treści:
„Obywatel Rektor PWSSP w Łodzi,
Zawiadamiam, że pismo sygnowane 0-431,73 z dnia 23. 09. 73 r. otrzymałem. Decyzję, odwołującą mnie ze stanowiska asystenta PWSSP w Łodzi przyjąłem do wiadomości. Natomiast przesyłany, wpływający na tę decyzję, a wymienione w powyższym piśmie (zmniejszenie ilości pracowników oraz limitu przyjęć na studia) uważam za niewystarczające i mijające się z prawdą. O ile mi wiadomo, ilość pracowników Podstaw Kompozycji nie ulega zmianie, jak również limit przyjęć na studia nie został w bieżącym roku akademickim zmniejszony. Uważam, że jeśli już konieczne jest wymienianie powodów odwołania mnie z zajmowanego stanowiska, to niech odpowiadają one prawdzie. W związku z tym uprzejmie proszę o wyjaśnienie moich wątpliwości.
ANDRZEJ JAKUSZEWSKI

Do wiadomości:
1. Ob. Kierownik Katedry Podstaw Kompozycji, doc. T. Jaskiewicz
2. Ob. prowadzący przedmiot Podstawy Kompozycji, wykł. A. Łobodziński (przesyłki polecone nr nr 637-869 z dn. 9. 07. 73 UP Łódź-9)

Do tej pory żadnej odpowiedzi nie otrzymałem. Reasumując powyższe, jeżeli Redakcja nie otrzymała również odpowiedzi na w tym artykule, pragnę oświadczyć, że duchowi i administracyjni przywódcy PWSSP w Łodzi (jako instytucja) należą do tego rodzaju urzędników, którzy za nie mają Kodeks Postępowania Administracyjnego. Opinie publicznej (sprawy odbiła się szerokim echem w innych środowiskach akademickich i nie tylko akademickich w Łodzi) oraz wszelkie formy administracyjnego trybu załatwiania spraw urzędowych (o czym świadczy chociażby fakt nieudzielenia odpowiedzi na listy do Redakcyjnych w ogóle — bo tak chyba — o ile nie gorzej — należy interpretować próby samowolnego zwolnienia z pracy wiceprzewodniczącego Rady Zakładowej, ad) H. Strumillo).

Zalęcam pozdrowienia
ANDRZEJ JAKUSZEWSKI



Fot. Archiwum

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DRUGI ETAP

Czytaj na str. 3

KULTURA ZAWODOWA I AMATORSKA?

Oczywiście nie może być takiego podziału. Nie jest przecież istotne czy autor dzieła, twórca przedstawienia, mając dyplom uczeni artystycznej czy etat w instytucji kulturalnej. Wychodząc z tego założenia, oceniamy jednocześnie realnie możliwości i potrzeby jednej i drugiej strony, podjęto dwa lata temu decyzję o ustaleniu patronatu niektórych zawodowych placówek kulturalnych nad ruchem amatorskim.

Jaki jest bilans dwuletniego okresu obowiązywania zasady patronatu? Okazuje się że niewielki, a co nabiera już pewnej pikantności, jeśli odnotowano pewne osiągnięcia to o bok zawartych swego czasu porozumień patronackich. Sytuacja taka musi niepokoić i dziwić. Niepokoi, bo z upowszechnianiem kultury w ogóle nie jest najlepiej. Dziwi, bo właściwie nie ma przeciwników samej idei patronatu.

W związku z powyższymi, niezbyt optymistycznymi konstatacjami chciałbym przedstawić garść uwag, opinii i wniosków, jakie nasuwają się po ostatnim posiedzeniu Zespołu Kultury Komisji Ideologicznej KL PZPR, który obradował w dniu 20 bm.

Okazuje się, przede wszystkim, że nie zdają egzaminu patronaty sformalizowane, narzucone, jak to określano. Chociaż prawdą jest i to, że kiedy dobiegają partnerów nikt nie zgłaszał zastrzeżeń. Dalej, nie opracowano żadnych programów współdziałania. Nie odpowiedziano sobie na pytanie: czym powinien być patronat? Zawodowe instytucje kultury przyjęły bierną postawę. Placówki amatorskie nie wysuwały żadnych wykraczających poza sprawy organizacyjno-techniczne jak wyposażenie rekwizytów, kostiumów, reflektorów itd.

Niezważną jest o pomoc w sensie merytorycznym świadczy,

że placówki amatorskie nie zrozumiały samej zasady patronatu. Nie bez winy jest także druga strona, zawodowe instytucje kultury. Trudno też byłoby stwierdzić, że związki zawodowe i wydziały kultury rad narodowych, zrobiły wszystko, żeby zainteresowanym pomóc w nawiązaniu dialogu.

Napisałem „zainteresowanym”, bo idea patronatu należy rozumieć nie tylko jako opiekę, ale też współpracę korzystną dla obu stron. Bo jeśli, na przykład, aktorzy z teatru zawodowego pomagają fabrycznemu zespołowi w przygotowaniu widowiska poetyckiego, które ludzie z zainteresowaniem obejrzą — to jest to również jedna z form przygotowania i zachęcania do uczestnictwa w życiu teatralnym.

I nie brak w tym zakresie przykładów pozytywnych, chociaż nie zawsze są one efektem formalnych porozumień. I tak: Teatr Wielki utrzymuje godne pochwały kontakty z Zakładami im. Fornalskiej, Państwową Wyższą Szkołą Muzyczną z Zakładami im. Reymonta, Zakładami Marchlewskiego z Wyższą Szkołą Plastyczną. Teatr Powszechny pod dyktando Ryszarda Sobolewskiego od trzech lat prowadzi bardzo pozytywne akcje bliźszego związania z młodzieżą z teatrem, współpracując z prawie 40 szkołami. Takich pozytywnych przykładów współpracy można by przytoczyć więcej, wymienić tylko zespoły Związku Nauczycielstwa Polskiego i Zakładów Waryńskiego, które w udany sposób współpracują ze szkołami muzycznymi, plastycznymi i PWSTFiT.

Dyskusja na posiedzeniu Zespołu Kultury skłania jednak do refleksji nieco szerszej. W wielu wystąpieniach przewijała się słuszna myśl, że programując działania w zakresie kultury traktujemy je zbyt wybiórczo, ograniczamy się do funkcjonowania

pewnych ogniw, nie dostrzegając dostatecznie wyraziście całokształtu zagadnień, rozpraszamy zbyt często środki i wysiłki, nie skupiamy się na sprawach najważniejszych.

Padają również pytania zasadnicze na które odpowie dopiero przyszłość. Pytania o zasadniczy sens istnienia amatorskiego ruchu kulturalnego. Czym ma być? Czy hobbystyczną zabawą, wypełnianiem czasu wolnego, czy parawodowstwem? Czy elementem konkurencji w ramach pionów i branż związkowych nie wypacając charakteru tego ruchu? Czy wreszcie przy inwazji środków masowego przekazu, telewizji w pierwszeństwie, mają szansę przetrwania tradycyjne formy działania ruchu amatorskiego. Jak wreszcie rozumieć sens istnienia scenek amatorskich, kiedy teatry zawodowe przeżywają od lat systematyczny spadek frekwencji i „gonią za widzem”?

nie są to pytania łatwe. I trudno nawet liczyć na jednoznaczna odpowiedź, przyniesie ją najpewniej dzień jutrzejszy. W każdym razie są to pytania ważne w trwającej od pewnego czasu dyskusji nad modelem socjalistycznej kultury, jaki chcemy w przyszłości ukształtować. W tym modelu sprawy już nie tylko ruchu amatorskiego, ale właściwie rozumianego upowszechniania kultury muszą znaleźć właściwe miejsce. Jest to problem numer dwa, jeśli za pierwszy uznamy dbałość i troskę o najwyższy poziom artystyczny i ideowy twórczych wartości kulturalnych.

Problem numer dwa, jak go nazwałem, co nie oznacza jego drugorzędności, nigdy nie był i nie będzie łatwy. Obecna ocena sytuacji w tym zakresie musi za brzmieć jak ostrzeżenie. Nie przełamałmy bowiem mimo jednoznacznych kierunków polityki kulturalnej, starych nawyków np. w zakładzie produkcyjnym, właściwego traktowania spraw kulturowych. Ktoś z członków zespołu z sarkazmem powiedział, że nie zna przypadku żeby usunięto ze stanowiska dyrektora u którego w zakładzie kultura „leży”. Za niewykonanie planu, oczywiście, za niesprawne urządzenia socjalne, owszem. Ale za to, że dom kultury, klub, czy świetlica istnieje tylko na papierze, takiego precedensu jeszcze nie było!

Nie chodzi tu, rzecz jasna, o złożenie odpowiedzialności za życie kulturalne załóg na barki ludzi odpowiedzialnych za produkcję w pierwszeństwie, ale o wytworzenie takiego klimatu w którym kierownicy życia gospodarczego (ręcz nie błaża, dysponenci środków) uznaliby za oczywistość, że człowiek rozwijający i zaspokajający swoje potrzeby kulturalne, żyjący i pracujący w kulturalnych warunkach — pracuje lepiej, wydajniej, z zaangażowaniem wspierającym wyższą świadomość.

A jakie są fakty? W nowo wybudowanych, nowoczesnych zakładach „Polanilu”, w przestronnych hallach — gołe ściany. Nikt nie pomyślał o zakupie kilku obrazów. A czy można gdzieś zobaczyć rzeźbę na przykładowym skwerku? I sprawa, której nie waham się nazwać SKANDAŁEM. Ostatnie targi tkanin UNIKATOWEJ. Jesteśmy organizatorami, producentami, liczymy się jako ośrodek w kraju a nawet w RWPG. Na ostatnich targach z dala z łódzkich zakładów pracy nie zakupił eksponatu. Zaden, kupiono je do innych miast, innych fabryk. Nie chodziło przy tym o wielkie pieniądze, eksponaty były w cenie od trzech do dziesięciu tysięcy zł. Chodziło o trochę poczucia piękna, wrażliwości. A jeśli to za wielkie wymagania to powiem, że po prostu zabrakło: kultury.

JERZY WAWRZAK

▼ PARADOKSY. Życie nie szczędzi nam paradoksów, ale też nieojalnością jest składanie całej winy za to na automatyzm życia. Dość często winowajcami jesteśmy sami. I tak to właśnie wygląda w przypadku łódzkiego INSTYTUTU TECHNIKI CIEPLNEJ oraz łódzkiego i nie tylko łódzkiego przemysłu lekkiego.

W Instytucie Techniki Ciepłej w Łodzi opracowano pod kierunkiem doc. dr Z. Barskiego system automatyki klimatyzacyjnej, mogący mieć zastosowanie również w zakładach przemysłu lekkiego, które — jak wiadomo — mają ogromne potrzeby właśnie w dziedzinie unowocześniania klimatyzacji. System opracowany w Łodzi sprawdzono m. in. na statku „Profesor Siedlecki”, w dojrzewalniach serów, suszarniach drzewa. Serię informacyjną zaczęły produkować Zakłady Wytwarzania Sprzętu Sieciowego w Bielsku-Białej, a układami automatyki klimatyzacyjnej zainteresował się warszawski „Instal”, dla którego — poza tą serią — ZWSS w Bielsku-Białej wyprodukują 100 sztuk takich urządzeń.

Z opatentowanych rozwiązań ITC skorzystały w Łodzi dwie instytucje: Centralny Szpital Kliniczny AM i Szpital MSW. Przemysł lekki nie zainteresował się nowością ITC. Być może dlatego, że są to dwa różne resorty, choć oba ministerstwa znajdują się w Warszawie i wcale tak daleko od siebie nie leżą.

▼ MŁODZI TECHNICY I EKONOMIŚCI obradowali w Łodzi nad sprawami etyki zawodowej i

NOTY I OPINIE

ochrony środowiska pracy i życia człowieka. Przyjęto program działania w środowisku młodej kadry inżyniersko-technicznej i ekonomicznej. Organizatorami OKRĘGOWEGO SEJMIKU MŁODYCH TWÓRCÓW NAUKI I TECHNIKI byli: Zarządy Łódzki i Wojewódzki ZMS, WRZZ, wojewódzkie oddziały NOT i PTE.

▼ PERYFERIE. „Express Ilustrowany” rozpoczął wielce chwalebna kampanię przeciw podziałowi miasta na „centrum” i „peryferie”. Oczywiście podział taki pod wieloma względami jest nie do przewyżnienia i nawet nie ma takiej potrzeby. Łódzkiej populacji nie chodzi jednak o coś innego. Gazeta zupełnie słusznie stwierdza, że dzielenie miasta na różne strefy zaopatrzenia jest nie tylko niecelowe, ale i szkodliwe, powoduje bowiem i obciążenie komunikacji, jako że wszyscy jada kupować do śródmieścia, a także obciążenie sklepów w śródmieściu, nie mówiąc już o ludzkim zmęczeniu.

Alle łódzki handel wie swoje. Zastępca dyrektora Hurtowni nr 1 — T. Antczak powiedział reporterowi „Expressu Ilustrowanego”, gdy ten zapytał, dlaczego w śródmieściu jest mialka, dobra sól, a na peryferiach — kamienia.

— „Ależ to normalne. Co roku w okresie jesiennym powtarza się taka sytuacja. W pierwszym rzędzie musimy zaopatrzyć centrum Łodzi, sklepy samoobsługowe, a na peryferie pozostaje już tylko sól kamienna. Jest ona wprawdzie trochę gorsza, ale zdalna do spożycia. Nie jest to zresztą winą hurtowni”.

„Express Ilustrowany” stwierdza również, że o ile mieszkańcy śródmieścia znają „bakłażany, kabaczki, czarna rzodkiew, jaruz”, to mieszkańcom Teofila Warzywa te są obce, a handel proponuje im natomiast „przeciezione gruszki i nadgryte jabłka”.

Sądze, że i w tej sprawie handlowcy odpowiedzieli: — „Ależ to normalne”. W końcu zły towar też trzeba gdzieś sprzedać. A jak nie chcesz kupować rzeczy gorszych, to proszę bardzo — jedź do śródmieścia.

Tylko, że i w śródmieściu nie zawsze wszystko można dostać.

▼ „A JEDNAK SIĘ KRĘCI” zawitało do Łodzi. Jest to wystawa MIĘDZYNARODOWEGO RYSUNKU SATYRYCZNEGO, którą redakcja „SZPILEK” zorganizowała z okazji urodzin MIKOŁAJA KOPERNIKA. Wystawę można obejrzeć w KLUBIE MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI „RUCH”.

▼ X ŁÓDZKIE SPOTKANIA TEATRALNE odbędą się na początku grudnia 1973 roku. „W czasie Spotkań — napisała

do „ODGŁOSÓW” kierownik Biura Organizacyjnego X LST, Barbara Chrzczonowicz — zostanie zaprezentowany dorobek polskich teatrów studenckich wypracowany w minionym roku. Jednocześnie Spotkania Teatralne staną się miejscem konfrontacji artystycznej i twórczej dyskusji, a także okazją do zdemonstrowania osiągnięć miasta, a na tym tle rozwoju kultury studenckiej w okresie minionego dziesięciolecia. Tegorocznym Łódzkim Spotkaniem Teatralnym z racji jubileuszu, chcemy nadać szczególnie uroczystą oprawę! Gratulujemy jubileusz! Życzymy następnych owocnych dziesięcioleci!

▼ „BIBLIOTEKA POETÓW” pożyteczne wydawnictwo KLUBU POETYCKIEGO Związku Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej, redakcji „NOWA WIEŚ” i Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Na czele Komitetu Redakcyjnego stoi prof. Jan Zygmunta JAKUBOWSKI.

Na „Bibliotekę Poetów” składa się rocznie 12 tomów. Jeden tom kosztuje 10 zł. Sprzedaje je wyłącznie POWSZECHNA KSIĘGARNIA WYSYLKOWA „Domu Książki” (Warszawa, ul. Nowolipie 4, Konto PKO — Warszawa, nr 153-6-900021). Zamawiaj „Bibliotekę Poetów” można kompletnie półrocznymi lub rocznymi. Zamówienia na pierwsze półrocze lub na cały rok należy przesyłać na zwykłym blankiecie PKO do końca lutego 1974 roku. Na odwrócie blankietu napisz jedynie „Biblioteka Poetów”.

W pierwszym półroczu 1974 ro-

ku ukażą się wiersze: Bohdana Drozdowskiego, Teofila Lenartowicza, Mieczysława Romanowicza, Fryderyka Schillera, Edwarda Szymańskiego, Jana Izzydora Sztaudyngera.

W drugim półroczu: Janiny Brzostowskiej, Stefana Flukowskiego, Jana Lechonia, Edgarda Lea Mastersa, Owidiusza, Aleksandra Sztaudyngera.

▼ ZWRACAMY UWAGĘ CZYTELNIKÓW na książkę Lesława Wojtasiaka pt. „ZARYS PSYCHOLOGII PROPAGANDY”, która ukazała się nakładem PWN i kosztuje 30 zł. Będzie ona służyć pomocą tym wszystkim, którzy zajmują się zawodowo lub społecznie pracą propagandową, agitacyjną, lektorską, oświatową.

▼ REDAKCJA NASZA MIALA PRZYJEMNOŚĆ BYĆ ZAPROSZONA:

— na uroczystość wręczenia nagród konkursu na obraz i gobelin, który organizował Okręg Łódzki Związku Polskich Artystów Plastyków.

— na otwarcie wystawy JACKA GAJA „Grafika, rysunek”, którą zorganizowały ZPAP i Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi w Salonie Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej 88.

— na konferencję prasową zorganizowaną w EDK z okazji Dni Kultury Węgierskiej.

— na konferencję prasową zorganizowaną w Zjednoczeniu Przedział Czesankowych w Łodzi z okazji przygotowywania giełdy pomysłów we Wrocławiu dla całego przemysłu lekkiego.

— na WIECZÓR PRZYJAŹNI poświęcony WIELKIEJ REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ, który zorganizowało koło TPPR przy Spółdzielni Pracy „SUROWIEC” w Łodzi, a w ramach którego mgr Teresa Sikorska z LOT wygłosiła prelekcję pt. „W 80 rocznicę urodzin Włodzimierza Majakowskiego” oraz odbyło się przedstawienie komedii muzycznej „FRED WRACA DO SOHO”, a wszystko to działo się w sali Teatru 7.15.

— do Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego, gdzie wspólnie z Zarządem Oddziału ZLP w Łodzi zorganizowano wieczór poświęcony życiu i twórczości JANA IZYDORA SZTAUDYNGERA. Na wieczorne tym mówili o poecie: Krystyna Zbijewska, Stanisław Witold Białicki, Tadeusz Chrościelewski, Michał Kuna, Wojciech Natanson, Ryszard Wierzbowski oraz Przyjaciele i Czytelnicy.

« „BORUTA” ze Zgierz, wytwarzająca blisko trzy czwarte barwników w kraju, 48 proc. swojej produkcji sprzedaje poza granicami Polski. W przyszłym roku wraz ze wzrostem produkcji fabryki połowa jej produkcji będzie wysyłana do odbiorców w innych krajach.

PROSZĘ O GŁOS!

NADZIEJA CZYLI IDIOTYZM

„Człowiek — to brzmi dumnie” — powiedział Maksym Gorki. I omylił się. Bo przecież do gatunku ludzkiego należą pasażerowie Polskich Kolei Państwowych, a pasażer — to wcale nie brzmi dumnie. To brzmi żałosnie, śmiesznie. Człowiek jest człowiekiem do czasu, kiedy zaopatrzy się w bilet uprawniający go do przebycia jakiegoś trasy i kiedy powierzy swoją doczesną powłokę tej potężnej instytucji państwowej. W tym właśnie momencie staje się pasażerem — prymitywną egzystencją, pozbawioną wszelkich praw, niepewną swego losu i bezzwłocznie zlorządzoną.

Pasażer Polskich Kolei Państwowych może się poskarżyć jedynie Panu Bogu. Jestem ateistą, ale gdybym miał gwarancję, że moje skargi zostaną wysłuchane, popadłbym chętnie w mistyfikę. Jestem racjonalista, ale uciekam się do metafizyki, bo nie mam już innego wyjścia. W ciągu zaledwie półtora roku ogłosiłem sześć publikacji na temat PKP. Były to publikacje rozmyślnie jadowite, pełne inwektyw, obraźliwe. Moje pełne jadu i nienawiści poczynania poparła redakcja „Odgłosów”, przytaczając odpowiednie paragrafy z Kodeksu Postępowania Administracyjnego i Zarządzenia Prezesa Rady Ministrów, mówiące o obowiązku reagowania na krytykę prasową. W praktyce okazało się, że PKP — to państwo w państwie i przepisy naszego prawa oraz zarządzenia naszego Premiera nie obowiązują tego suwerennego mocarstwa.

Istota ludzka ma to do siebie, że odradza się psychicznie i moralnie mimo wszystkich nieszczytów i ciosów, jakich doświadczyła. Więcej — ożywa w ludzkiej istocie nadzieja. Nadzieja jednak — w kontekście obcowania z naszymi kolegami — jest po prostu idiotyzmem. Ta gorzka prawda objawiła mi się już nie raz w mojej wątpliwej karierze podróżniczej, ostatnio zaś 25 października br.

Tego właśnie dnia wsiadłem w pociąg odjeżdżający z Łodzi o godz. 17.31 i mający przybyć do Warszawy Głównej o 20.08. Kiedy z należytym opóźnieniem przybyliśmy do Kolaszek i kiedy przepuściliśmy express „Hutnik” — również należycie spóźniony, nadzieja moja zaczęła wędznąć jak kwiat. Na nic pocieszenia, że wczoraj znajomi moi jechali pociągiem późniejszym z Warszawy do Łodzi 3,5 godziny — więc dziś już tego być nie może, na nie argument, że pociąg w końcu ruszył. Nadzieja zwiędła — i miła racja. Bo oto zatrzymaliśmy się na stacji Pływów. I staliśmy. Bardzo długo staliśmy.

W przedziale było nas trzy osoby. Ujawniły się też wkrótce trzy postawy. Ja poprzestałem na powiedzeniu tego, co myślę o Ministrze Komunikacji. Muszę wyjaśnić, że myślę o nim bardzo źle, wypowiedź moja jednak była stonowana obecnością kobiety. Mniej krepowal się doprowadzony do stanu wrzenia obywatel, który w imieniu któregoś z łódzkich centrów udawał się na lotnisko Okęcie, aby tam odebrać z samolotu dwóch przemyślowców zagranicznych; mógł to zrobić tylko on, tylko on znał tych cudzoziemców, tylko on wiedział, w jakim hotelu

mają zarezerwowane miejsca. Już w połowie czekania stało się jasne, że cudzoziemcy będą musieli radzić sobie sami. Podziwiałem biegłą znajomość języka angielskiego, która pozwalała temu panu nie krepować się w słowie. Ja znam biegle jedynie język rosyjski, ale przekleństwa w tym języku są łatwo zrozumiałe dla każdego Polaka, toteż musiałem być powściągliwy. Pani jadąca z nami zajęła postawę czynną — otworzyła okno i wdała się w dyskurs ze stojącymi na peronie kolejarzami.

— Panowie, dlaczego my stoimy?
— Jakaś awaria.
— Jaka awaria? Czy w ogóle pojedziemy?
— A skąd mam wiedzieć? Pani myśli, że mamy tu telewizor?
— Ale macie panowie telefon, można zadzwonić, dowiedzieć się.
— To niech pan dzwoni!
— Gdybym nosiła taką czapkę jak pan, to bym zadzwoniła.

Nie wiem, jaka to była awaria, mogło to być trzęsienie ziemi, które zerwało odcinek toru, mogła to być krowa, która tu właśnie postanowiła zakończyć życie samobójstwem. Wiem natomiast, że zasada niekompetencji przybrała w PKP kształt doskonały: nie można się dowiedzieć niczego od nikogo — ani od Ministra, który na pytania nie odpowiada, ani od Dyrektora DOKP, ani od kontrolera, ani od szeregowego kolejarza. Wiem też, że na wszystkie pytania odpowiadają oni z pełnym oburzeniem zniecierpliwieniem: „A skąd mamy wiedzieć? Nikomu nie przychodzi do głowy, że aby wiedzieć — trzeba się dowiedzieć. I że poinformowanie pasażerów należy do elementarnych obowiązków”.

Nie będę przedłużał tej relacji. Po godzinie przysłała konduktorka, poprosiła pasażerów jadących do Skierniewic, aby przesiadli się do autobusów, bo pociąg jedzie przez Sochaczew. Potem pasażerowie się przesiadli, pociąg ruszył i przez Skierniewic, rzecz jasna — z 80-minutowym opóźnieniem dotarł do Warszawy. To jest o 60 minut za dużo, ponieważ 20-minutowe opóźnienie jest traktowane przez nasze społeczeństwo jako dowód wyjątkowej sprawności naszych Polskich Kolei Państwowych. Do tego doświadczyliśmy. Nie znajduję już słów, którymi można nazwać to, co się dzieje. Ucieknę się do analogii.

W czasie bitwy o Wielką Brytanię, na jednym z angielskich lotnisk wyładował niemiecki myśliwiec i po dokonaniu drobnej, ale koniecznej naprawy, przez nikogo nie zatrzymany — poleciał dalej. Pewnemu oficerowi w sztabie Królewskich Sił Lotniczych polecono opisać i napiętnować tego karygodnego wypadku. Oficer długo myślał, jakich miażdżących słów użyć, w końcu napisał: „To jest niezadowolające”.

Otóż wzorem tego Anglika uważam, że praca naszych Kolei Państwowych jest niezadowolająca.

MAREK WAWRZKIEWICZ

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (se kretarz redakcji) MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stałe współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRĄBSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD ŚLAWSKI.

„Polsce potrzebna jest sprawna i efektywna w działaniu administracja, zdolna do skutecznej realizacji zadań ogólnopolskich i rozwiązywania problemów regionalnych, zdolna do wypełniania rosnących organizatorskich funkcji państwa socjalistycznego.“
(Z dokumentów I Krajowej Konferencji Partyjnej)

1. ETAP PIERWSZY

Historia rad narodowych sięga okresu walki o wyzwolenie narodowe i społeczne, kiedy to z inicjatywy Polskiej Partii Robotniczej powołano pierwsze organa władzy terenowej, z Krajową Radą Narodową na czele. I Krajowa Konferencja Partyjna w „Deklaracji o roli i zadaniach rad narodowych w społeczno-politycznym systemie Polskiej Rzeczypospolitej” pozytywnie oceniła cały dotychczasowy dorobek rad narodowych, stwierdzając:

„Rady narodowe, jako terenowe organa władzy państwowej odegrały ważną rolę w socjalistycznym budownictwie, stając się — zgodnie z leninowskimi wskazaniem — trwałą i sprawdzoną w praktyce podstawą ustrojową uczestnictwa robotników, chłopów i inteligencji w rządzeniu”.

Zmieniające się polityczne i społeczne warunki, konsolidacja społeczeństwa wokół programu budownictwa socjalistycznego, wzrost wiedzy i poziomu kulturalnego obywateli, stwarzają możliwość dalszego rozwijania demokracji socjalistycznej, a co za tym idzie, przebudowywania struktury władzy w Polsce w taki sposób, aby znacznie zwiększyć udział mas pracujących w zarządzaniu krajem.

Po VI Zjeździe PZPR dokonano u nas dwu istotnych posunięć, które można byłoby uznać za pierwszy etap w pracy nad doskonaleniem systemu władzy w Polsce, nad rozszerzeniem i umocnieniem demokracji socjalistycznej.

Po pierwsze — była to reforma władzy terenowej na wsi, powołanie gmin.

Po drugie — było to powołanie samorządu mieszkańców, instytucji stwarzającej w miastach największą możliwość każdemu obywatelowi uczestniczenia w zarządzaniu najbliższym mu terenem.

Stworzenie gmin było niejako przygotowaniem do reformy całego systemu władzy w Polsce, etapem doświadczalnym, na którym miały ujawnić się zalety i braki koncepcji. Gminy szybko wrosły w rzeczywistość polskiej wsi. Przez rok ich działania znacznie poprawiły się poziom kierowania sprawami wsi, poziom obsługi obywateli. Działalność gmin dowiodła, że dla sprawnej realizacji programu społeczno-gospodarczego partii niezbędne jest dalsze doskonalenie struktury władzy, dalsze umocnienie demokracji socjalistycznej.

„Rola samorządu mieszkańców — stwierdza Uchwała Rady Państwa z 21 maja 1973 roku — wzrasta w związku z rozwojem aglomeracji miejskich oraz realizacją ambitnego planu podwojenia w ciągu najbliższych 20 lat zasobów mieszkaniowych kraju. Z rozwojem budownictwa wiąże się nierozdzielnie rozszerzenie społecznych funkcji osiedli mieszkaniowych, które będą zaspokajać nie tylko szeroko rozumiane potrzeby bytowe mieszkańców, ale także potrzeby związane z wychowaniem dzieci, kształceniem, ochroną zdrowia, wypoczynkiem i rozwojem kulturalnym.

Osiedle mieszkaniowe staje się ważnym elementem struktury społecznej kraju. Nowy, wyższy jakościowo etap społeczno-gospodarczego rozwoju kraju wymaga również wzbogacenia i udoskonalenia form i metod działalności społecznej”.

Pragniemy utrzymać wysoką dynamikę rozwoju gospodarki, wysoką dynamikę rozwoju społecznego kraju.

W tym celu stwarzamy możliwości i warunki dla rozwijania wszelkiej inicjatywy, dla angażowania się nas wszystkich do realizacji programu pomnażania naszych zasobów materialnych i duchowych, naszego bogactwa narodowego. I temu między innymi mają służyć samorządy mieszkańców, jako jedna z form demokracji socjalistycznej, jako jedna z form angażowania obywateli w obywatelskie sprawy.

2. KIERUNEK PRZEMIAN

Pragnienie utrzymania wysokiego tempa rozwoju Polski wymaga dalszych przemian.

Zszych przemian, stworzenia silnej władzy terenowej, która przez swoją siłę wykazywałaby też wysoką sprawność. Wymaga to stworzenia takiej władzy, która mogłaby skutecznie niż do tej pory spełniać rolę gospodarza, koordynatora wszelkich poczynań, ich inicjatora, która mogłaby skutecznie łączyć interesy całego kraju z interesami regionu.

W jakim kierunku pójdą zmiany w strukturze władzy terenowej? Radą Ministrów przesłana już do Sejmu PRL projekty odpowiednich dokumentów, które staną się podstawą działania rad narodowych. Rozważano je już w komisjach sejmowych, zajmie się nimi Sejm PRL na sesji plenarnej.

Zmiany wymagają niektóre artykuły Konstytucji PRL, ma bowiem nastąpić rozdział funkcji przedstawicielskich rad narodowych od funkcji wykonawczych.

Proponuje się, na przykład, aby punkt 2 artykułu 42 brzmiał:

„Zadania ustalone przez rady narodowe w ramach posiadanych uprawnień wykonują terenowe organy administracji państwowej”.

Oraz punkt 3 tego artykułu: „Terenowymi organami administracji państwowej są: wojewodowie, prezydenci lub naczelnicy miast, naczelnicy powiatów, naczelnicy

dzielnic i naczelnicy gmin (miast i gmin)“.

I wreszcie punkt 4 artykułu 42: „Terenowy organ administracji państwowej podlega organowi administracji państwowej wyższego stopnia, a w zakresie wykonywania zadań rady narodowej — właściwej radzie narodowej jako jej organ wykonawczy i zarządzający”.

Wręcz ze zmianami w Konstytucji PRL dokona się zmian w „Ustawie o radach narodowych”. Zmiany te zmierzają w kierunku umocnienia roli i znaczenia rad narodowych, jako organów przedstawicielskich. Będą one określały zadania społeczno-gospodarcze dla wszystkich jednostek swego terenu, łącząc w planach rozwoju społeczno-gospodarczego interesy kraju z interesami regionu. Za pomocą planu rada narodowa będzie mogła skutecznie spełniać swoją rolę kierowniczą w stosunku do wszystkich ogniw gospodarki i życia społecznego terenu.

Zgodnie z zaleceniami I Krajowej Konferencji Partyjnej na przewodniczących rad narodowych proponować się będzie pierwszych sekretarzy komitetów wojewódzkich, powiatowych i miejskich partii, a w miarę dojrzewania warunków także pierwszych sekretarzy komitetów gminnych PZPR. W skład prezydiów rad narodowych powinni też wchodzić przedstawiciele bratnich stronnictw politycznych.

Prezydium rad narodowych będą organizowały pracę rady, zwoływały sesje, organizowały i kontrolowały pracę komisji rad narodowych oraz pomagały radnym w wypełnianiu ich mandatu.

Rady narodowe będą opiniowały kandydatów na wojewodów, naczelników powiatów, dzielnic, prezydentów miast. **Wojewodów, prezydentów**

liczno-politycznym systemie PRB” jaką uchwalono na I Krajowej Konferencji Partyjnej — sprzyjać będzie pogłębieniu zarówno demokracji socjalistycznej jak i usprawnieniu działania administracji”.

Dzięki temu można będzie łatwiej i skuteczniej wykonać zadania, jakie stoją przed radami narodowymi, a które wynikają z programu partii, zmierzającego do szybszego rozwoju kraju, do ZBUDOWANIA DRUGIEJ POLSKI.

To właśnie od sprawnej pracy rad narodowych, od sprawnego działania administracji państwowej zależeć będzie powodzenie naszych planów społecznych i gospodarczych. **NA WSI** — trzeba rozwiązać wiele problemów, aby postępować mógł wzrost produkcji rolnej, mogła rozwijać się pomyślnie hodowla, a co za tym idzie — również przemysł spożywczy. Muszą rosnąć w siły PGR, kółka rolnicze i spółdzielnie produkcyjne. **W MIEŚCIE** — stanie przed radami ogrom spraw związanych z budownictwem mieszkaniowym, gospodarką komunalną, porządkiem publicznym.

W MIEŚCIE I NA WSI — doskonalenie koordynacji wszystkich poczynań społecznych i gospodarczych, doskonalenie funkcjonowania urzędów, poprawa organizacji pracy, szerokie rozwijanie usług. Przed radami narodowymi w mieście i na wsi staną zadania stworzenia warunków dla rozwoju oświaty, dla przejścia na „dziesięciolatkę”. Ich zadaniem będzie też troska o należyty rozwój służby zdrowia, troska o zapobieganie chorobom, o stworzenie jak najlepszych warunków do wypoczynku. A także troska o właściwy rozwój kultury.

Tych zadań rady narodowe nie wykonają bez powszechnego poparcia

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DRUGI ETAP

I współdziałaniu nas wszystkich, każdego obywatela. Partia dąży do rozszerzenia demokracji socjalistycznej, do umocnienia systemu władzy, który nie tylko wyraża interesy ludzi pracy, ale który też angażuje wszystkich do współdziałania w zarządzaniu.

„Codzienna współpraca rad narodowych — stwierdza się w dokumentach I Krajowej Konferencji Partyjnej — z różnymi ogniwami samorządu robotniczego, chłopskiego i spółdzielczego, z mieszkańcami miast i wsi tworzy coraz lepsze warunki udziału ludzi pracy w życiu publicznym, służy realizacji ustrojowej zasady jedności praw i obowiązków obywateli”.

4. 9 GRUDNIA

9 grudnia 1973 roku odbędą się wybory do rad narodowych. Będzie to nie tylko akt głosowania, będzie to również wyraz naszych społecznych i politycznych zobowiązań, deklaracja naszego udziału w realizacji programu wszechstronnego rozwoju Polski.

„I Krajowa Konferencja PZPR wyraża przekonanie, że zbliżające się wybory staną się manifestacją ogólnonarodowego poparcia dla polityki partii i programu FJN, dla umocnienia i rozwoju socjalistycznej Polski”.

3. ZADANIA

„Dokonywanie takich zmian — stwierdza się w „Deklaracji o roli i zadaniach rad narodowych w spo-

Asfaltywnymi uliczkami pędzą wózki akumulatorowe, szumią niebieskie zbiorniki wyrównawcze instalacji sprężonego powietrza: ostra woń kwasowa, most na Dobrzyńcu, woda skrwawiona ściekami; smukły wieżowiec młynowni, dymiąca kotłownia, wreszcie budynek wydziału głównego mechanika.

Idę długim balkonem, z dołu bije zgiełk hali montażowej. W pokoju wydziału energetycznego mówią mi, że kierownik Wdowiński gdzieś w terenie, ale zaraz się go poszuka.

— To w zakładzie też działa jako radny? — pytam.

— Jasne, wszędzie go potrzebują! Wcale się temu nie dziwię. „Polfa” to jeden z trzech największych zakładów tej branży w Polsce. Dwa tysiące ludzi pracuje w dość trudnych warunkach; przyznoszą do zakładu swoje troski i radości, szukają pomocy. Ktoś musi ich wysłuchać, doradzić, wniknąć w sprawy nieraz bardzo intymne.

Śladam za biurkiem inżyniera Wdowińskiego. Musiał wyjść nagle. Odłożony długopis, w popielniczkę

ledwie napęczny papieros, otwarty „Katalog opraw oświetleniowych”.

Kiedy wszedł, pomyślałem, że fatalnie spartaczyli mu to zdjęcie w „Trybunie Ludu”, z 20 lipca 1970 roku. Mówił wtedy, jaki powinien być Polak 1970.

Jest szczupły, w swym fartuchu, twarz pociągła, mądre, trochę nieśmiałe spojrzenie szarych oczu. Kładzie na biurku kask i podnosi słuchawkę telefonu.

— Co, jest ktoś do przyjęcia? Aha, po technikum i pięć lat już pracował. No to trzeba koniecznie przyjąć! Tak, do warsztatu, albo na „syntezę”. I myślę, że można mu dać siódmą grupę.

Dziwi się, że chcę pisać o nim reportaż i pyta, jak go znalazłem.

— „Nasłat” mnie W. Ornat, sekretarz MRN.

No to w porządku, tylko, że on jest cholernie zajęty. Dziś umówił się, ma dodatkową pracę. Powinieneś mu dać spokój, chociaż w sobotę, ale nie ustępuje. Będzie więc sobota, godz 18, bo o 17 kończy zajęcia w szkole. Wieczorem wchodzi do mieszkania



POWAŻNY BŁĄD

W bardzo pozytywnej serii popularno-naukowej „Biblioteczka wiedzy o Łodzi” ukazała się w kilkunastym nakładzie broszura Wandy Lipiec: „Kultura i oświata w Łodzi w okresie międzywojennym”. Niestety, praca ta zawiera rażące błędy, przynajmniej w ustępach traktujących o życiu artystycznym Łodzi.

Dowiadujemy się z niej na przykład o działaniu w Łodzi od 1924 r. oddziale Instytutu Propagandy Sztuki — Miejskiej Galerii Sztuki i jego dyrektora Dienstu-Dąbrowskiego. Jak wiadomo Instytut Propagandy Sztuki zorganizowano w 1929 r., zaś jego filia łódzka powstała dopiero w 1931 r., przejmując budynek dawnej Miejskiej Galerii Sztuki. Oddział łódzki IPS nie ma nic wspólnego z Dienstu-Dąbrowskim, dyrektorem owego wcześniej komercyjnej Miejskiej Galerii Sztuki, którego pozycja w sztuce łódzkiej jest, co najmniej dyskusyjna.

Podobnie błędne jest przedstawienie historii Muzeum Sztuki. Budzi tu wątpliwość już sama terminologia. Pisząc o okresie przedwojennym autorka używa nazw „Muzeum Sztuki” bądź „Muzeum Sztuki im. Bartoszewiczów”, dla czasów powojennych rezerwując nazwę „Galeria Sztuki”. W rzeczywistości przedwojenna oficjalna nazwa brzmiała „Miejskie Muzeum Historii i Sztuki im. Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów”, nazwę „Muzeum Sztuki” przyjęliśmy 1 stycznia 1950 r. i stosujemy ją po dziś dzień, nazwy zaś „Galeria Sztuki” nie używaliśmy nigdy.

Najbardziej jednak zaskakujące jest przedstawienie historii kolekcji międzywojennej sztuki nowoczesnej w Łodzi. Fakt umieszczenia tej kolekcji w naszym mieście był — jak wiadomo — wyrazem miarę europejską, został też szczegółowo opisany zarówno w literaturze krajowej jak i zagranicznej. Autorka zapewne w oparciu o źle zrozumiany fragment wspomnień doc. dr Mariana Minicha przypisuje mu stworzenie nie w muzeum „podstaw awangardy malarskiej” przez przyjęcie daru Brzozkowskiego i Stażewskiego. Jesteśmy jak najdalej od umniejszania wielkich zasług pierwszego dyrektora naszego muzeum, musimy jednak stanowczo sprzeciwić się przypisywaniu mu tego, do czego nigdy sam się nie pochwalał. Kolekcję przysłał do muzeum, w imieniu Zarządu Miejskiego Przemysł Smolik 15 lutego 1931 r. (data podpisania oficjalnego protokołu), podczas gdy Marian Minich objął kierownictwo muzeum dopiero 1 stycznia 1935 r. Kolekcja stanowiła dar z grupy a. z. i nie zaś jedynie Brzozkowskiego i Stażewskiego, choć obaj przyczynili się do powstania kolekcji w stopniu decydującym. Głównym jednak inicjatorem całego przedsięwzięcia był Władysław Strzemiński, który też podpisał w imieniu całej grupy protokół przekazania kolekcji w depozyt do muzeum, z zastrzeżeniem natomiast dyrektora Mariana Minicha jest niewątpliwie stale pozyskiwanie dalszych ekspozycji do muzeum, w tym również wielu cennych dzieł z zakresu sztuki nowoczesnej.

Mimo niewielkiej objętości pracy, co niewątpliwie uniemożliwiło autorce pełne przedstawienie życia kulturalnego Łodzi w omawianym okresie, zdumiewające jest zlekceważenie działalności grupy art. (autorka ogranicza się do stwierdzenia, że istniało takie ugrupowanie). Działalność tej grupy (w tym dwójka łódzian — Kobro i Strzemińskiego) ze względu na wagę jej poczynia znajdującej się obecnie w centrum zainteresowania badaczy sztuki współczesnej w świecie. Tymczasem przy lekturze omawianej pracy odniosłem wrażenie, że w wyniku nieszczytnej stylizacji, że najwybitniejszym artystą łódzkim był w omawianym okresie „światowej sławy” twórca Artur Szyk. Lektura tekstu jest ponadto utrudniona przez niezbyt korektną: „Diesel” miast „Diensli”, „Stażewski” (!) miast Stażewski”, „Chachonne” miast „Charchonne”, „Delanney” miast „Delannay” itd.

Biorąc pod uwagę, że sprawy przez nas poruszone znalazły odzwierciedlenie zarówno w łatwo dostępną literaturę fachową jak również w licznych publikacjach prasowych (m. in. w czasie trwania sesji naukowej z okazji czterdziestolecia międzywojennej kolekcji sztuki nowoczesnej w Łodzi, sędziwy ze wydawcy serii (Łódzki Komitet FJN i Uniwersytet Łódzki) popchnął poważny błąd nie przeprowadzając gruntownej kontroli rzeczowej omawianej pracy, przyczyniając się tym samym do upowszechnienia fałszywych wiadomości.

Dr JACEK OJRYŃSKI (Muzeum Sztuki w Łodzi)

RYSZARD BINKOWSKI

NA CHOROBE NIE MAM CZASU

Ulica Żymierskiego w Pabianicach. Jej prawa strona to „bawelna, farmaceutyki, papier”. Ulica lewną rytmem pracy, ulica fabryk. Do PABIANICZAK ZAKŁADÓW FARMA-

CEUTYCZNYCH „POLFA” trafiam nie przypadkiem: mam tu poznać inżyniera WITOLDA WDOWIŃSKIEGO, radnego MRN tego prawie 70 tysięcznego miasta.

(Dalszy ciąg na str. 6)

SKAZANI NA SUKCES

HANS HELMUT KIRST FRAGMENT POWIEŚCI

Wyszła, jak zwykle, z baru na rogu ulicy. Szła powoli, ale jakby czujnie, w stronę domu, w którym mieszkała. Oczekując na któregoś ze swoich gości, to było pewne. Ale na którego tym razem? Harald Fein znalazł tylko kilku z nich. A jednego szczególnie dobrze.

Był to jeden z tych wieczorów, jakie zdarzają się tylko w Monachium po letnim dniu: wypełnione migotliwym błękitem rozciągającym się w ciemności, a przy tym pozwalającym dostrzec wyraźnie wszystkie kontury: ostro zarysowane kształty domów; ludzi, podobnych do wystrzyżonych z papieru sylwetek, ulice powleczone olowiąną szarością.

Ruch był w tym czasie mierny — tylko kilka samochodów, mało ludzi, ani jednego psa. Był to czas kolacji i dziennika telewizyjnego. Większość ludzi chciało delektować się i strawić równocześnie jedno i drugie. Prowadziło to do zakłóceń żołądkowych z nierozpoznanych przyczyn, co zdarzało się często w czasach, w których rolę się od dziwnych schorzeń.

Harald Fein siedział w samochodzie, zaparkowanym przy krawężniku. Sprawy wrażeń czujnego i ubawionego. Uśmiechał się do siebie. Równocześnie obserwował, co się wokół niego dzieje. Wydawało się, że jego cierpliwość jest bezgraniczna.

Harald Fein w kilka dni później podczas przesłuchania tzw. „prośby o informacje” — w policji kryminalnej „Zatrzymałem się tam, w pobliżu tego domu mieszkał na ulicy V, podczas mojej codziennej drogi z biura do domu. Był to czysty przypadek! Zrobili mi chyba dyktando, że akurat tam było wolne miejsce na parkingu.

Byłem zmęczony stereotypową rutyną w firmie, dla której pracuję. Czulem się kłopotliwy, nie po tym, że zgasłem motor i włączyłem radio, żeby posłuchać wiadomości.

Urzędnik kryminalny: „Ale ulica V, przy której stoi ten dom, nie znajduje się na pańskiej bezpośredniej drodze do domu?”

Fein: „Mam wrażenie, że natrafiałem na jakiś objazd. A może próbowałem wydestakować się z korka ulicznego, bo to była godzina szczytu. Nie pamiętam już dobrze, jak to było.”

Paul Plattner — jedyny właściciel poważanej, rentownej i wpływowej wielkiej firmy budowlanej Plattner — Budownictwo Nadziemne i Podziemne — zjawiał się w biurze już po oficjalnym zakończeniu dnia pracy. Z rosnącą niechęcią przegadł leżące przed nim sprawozdanie dzienne. Na jego twarzy, nacechowanej zazwyczaj ojcowiskim pobłażaniem, malowała się coraz większa irytacja.

„To świniństwo” — wykrzyknął — „budowa nr 14 od wielu dni nie ma wystarczającej ilości materiału!”

Przed nim stał — w należytym pełnym szacunku odległości — goniec Wamster. Był to wypróbowany, godny zaufania człowiek. Sprawiał także wrażenie, jak gdyby miał wielką ochotę podzielić cierpienie szefa: jeśli szef nazwał coś „świniństwem”, to z pewnością zasługiwało na to określenie.

„Poproszę do mnie pana Feina!” — wykrzyknął szef.

„Pański zięć” — zaczął ostrożnie Wamster — „już...”

„W mojej firmie nie jest on dla mnie zięciem” — skorygował zdecydowanie Paul Plattner. — „Pan Fein jest tu zatrudniony jako dyrektor. Niech pan wreszcie zapamięta tę drobną, ale ważną różnicę!”

„Tak jest” — zapewnił posłusznie Wamster.

„Na co pan jeszcze czeka? Ma tu przyjąć dyrektora?”

„Ale on już wyszedł z firmy — jak zawsze, po zakończeniu czasu pracy. Powiedział, że jedzie do domu.”

„To niech pan do niego zatelefonuje. I niech mu pan powie wyraźnie, że ma się natychmiast tutaj zjawić.”

Harald Fein oparł się o poduszki swojego samochodu. Był to Mercedes 280 SL — luksusowy wóz wyższej średniej klasy, który — zgodnie z zawsze obowiązującym zdaniem swojego teścia — musiał sobie kupić ze względów prestiżowych: ostatecznie był przecież kimś. Teść stwierdził to przed wieloma miesiącami. Po tem słowa poszły w zapomnienie — jak gdyby nie był już kimś! Takie rzeczy działy się szybko — w tym towarzystwie, w tym świecie interesu.

W każdym razie Harald Fein siedział tu, wyciągnąwszy nogi przed siebie i wydawało się, że jest zajęty wyłącznie patrzyeniem na tę pulchną, oddalającą się tancym krokiem, przeciskającą się naprzód istotą.

Za nim, na poduszki samochodu, siedziało cierpliwie i uważnie nieprawdopodobnie stworzenie; karzeł i zwierzę z bajki zarazem: pies, który wabił się Anton. Nie tak wypielęgnowany jak pudel, nie tak dekoracyjnie zdziaczony, jak pies pasterski. Coś w rodzaju miniaturowego wydania nowofundlandczyka. Zupełnie niemożliwe do określenia, porównując wieloznaczna mieszanka, niesłychanie pobudzająca fantazję. Pies, który wabił się Anton, patrzył przed siebie, a w jego oczach lśniły iskierki nadziei.

Wydawało się, że Harald Fein uważał obecność psa za rzecz dobrą i oczywistą. Sądził bowiem, że ten pies jest jedyną istotą na świecie, która niczego od niego nie żądała. Anton zaś pozwalał mu pozostać w tej wierze i nie przeszkadzał mu nigdy. A już w każdym razie nie w takich wypadkach.

„Gdzie ojciec?” — zapytała Helga Fein matkę, która patrzyła na nią ze zmartwioną miną. „Mam do niego pilną sprawę”.

„Nie ma go tutaj” — odpowiedziała matka. Hilda Fein, która siedziała przy toalecie, nakładając na powieki błękitne cienie. Trudno jej było osiągnąć pożądaną odcięć, co groziło wprowadzeniem jej w nerwowy nastrój. „Czego od niego chcesz?”

„Mam pewien problem!” — oświadczyła

córka, stojąc nadal w progu. Przyglądała się przy tym badawczo matce i starała się ukryć niechęć do ozdabiania twarzy, które kosztowało tyle wysiłku. „Co znowu masz dzisiaj w planie? To co zawsze? Wielkie spotkania towarzyskie? Czy też coś bardziej intymnego — na przykład małe party dla kilkudziesięciu osób?”

„Co to za problem?” — zapytała matka.

„O, taki, którego nie zrozumiesz. Może go zrozumieć tylko ojciec!”

„Tylko on?” Hilda Fein podniosła oczy. Spojrzała w lustro i zobaczyła w nim siebie, a w głębi córke. Dwie kobiety: starannie wypielęgnowaną i beztroško zaniedbaną. „Przecież się go, Helgo!”

„Pytałam tylko o to, gdzie mogę go znaleźć, a nie o to, co o nim myślisz. Wiem to aż za dobrze!”

„Moje dziecko” — powiedziała matka. — „Czy nie możemy przynajmniej spróbować...”

„Nie” — odrzekła Helga miękko, niemal pogodnie. „Dla mnie ojciec jest kimś innym niż dla ciebie.”

„Pan dyrektor Fein” — poinformował swojego szefa Wamster — „opuszczył naszą firmę o zwykłej porze, zaraz po zakończeniu pracy, ale nie ma go jeszcze w domu”.

Paul Plattner zmarszczył czoło. — „Czy ma pan pojęcie, gdzie się mógł zatrzymać? Jeśli pan wie, niech pan powie otwarcie!”

„Kto to może wiedzieć?” — powiedział ostrożnie Wamster.

„A co pan przypuszcza?” — nalegał Paul Plattner.

„No, cóż — chyba jest w tym jakaś kobieta. „Chyba”.

„Jaka?”

„Nie wiem — jeszcze nie wiem.”

„Czy może pan się dowiedzieć? Niech się pan postara! Mogłoby się to panu opłacić. Chyba nie musimy niczego dodawać. A teraz niech pan powie, żeby tu przyszedł Jons. Niech pan go znajdzie, bez względu na to, gdzie jest. To nie sądzisz, że czas pracy już się skończył?”

Z dochoźden policji kryminalnej, dotyczący domu mieszkalnego przy ul. V.33.

„Właściwie to, co zawsze: lokatorami są przedstawiciele klasy średniej i wyższej klasy średniej. Na parterze mieszkał dwaj lekarze: laryngolog i lekarz chorób skórnych. Następnie wyżali urzędnicy: trzech ekonomistów, jeden agent ubezpieczeniowy, dwóch prokurentów bankowych. Ponadto emerytowany profesor, wdowa po młodo zmarłym malarzu impresjonistycznym, para poetów, należących do grupy Tukan.

Ta osoba mieszkała na szóstym piętrze. Z zawodu modelka. Wymiary: obwód biustu 95 cm, talia — 63 cm, biodra — 95 cm. Za kilka dni skończyłaby 30 lat”.

Kobieta, którą Harald Fein zobaczył po raz pierwszy przed jakimś dwoma tygodniami, zaczęła coraz bardziej zaprzęcać jego myśli. I to nie tylko dlatego, że wydawała mu się ucieleśnieniem wielce obiecującej pokusy, której trześcią była jej możliwość oddania się, do czego w skrytości tęsknił i czego się spodziewał.

Miał żywą wyobraźnię — także pod tym względem. Przeżył wiele rozczarowań, dręczyło go poczucie braku spełnienia pragnień i wciąż oddalająca się i dominująca nad innymi uczuciami pożądanie. Wydawało mu się, że ta wspaniała prymitywna kobieta, może przynieść wybawienie, a przynajmniej zlagodzenie. Ale cóż — nie tylko Jemu!

Tymczasem zdażył się już dowiedzieć, że miała zwyczaj z pewną regularnością — jak gdyby i ją obowiązywały stałe godziny pracy — wstępować około ósmej wieczorem do baru „Eldorado”, znajdującego się na rogu ulicy.

Tam zjadała — jak gdyby w przerwie między dwoma zmianami — trzy jaja na szyne i wypijała kieliszek szampa. A zatem wzmacniała się, żeby być gotową na przyjęcie swoich dalszych gości.

Pies Anton siedział z otwartymi oczami, z głową na oparciu przedniego siedzenia. Sprawiał wrażenie gotowego do skoku. Jakiś chciał dementować czujność, chociaż, niestety. W danym momencie nie zwracano na niego specjalnej uwagi. Patrzył na drzwi wejściowe do domu mieszkalnego, za którymi, unikając światła, stał jakiś człowiek. Po prostu stał. Długo.

A Harald Fein nastawił radio na pełny regulator, aby posłuchać informacji i komentarzy na temat aktualnych wydarzeń i w miarę możliwości — rozrwać się trochę.

„Cóż to za świat!” — roześmiał się Harald Fein i zamknął radio. „Bez-wstydy zaklamany” — i pełen idiotów, którzy nie tylko chętnie wierzą we wszystko, co cieszy ich infantylne serca, lecz także są gotowi dać się za to zabić! A nawet jeszcze za to płacać”.

W ostatnich czasach wciąż przyłapywał się na tym, że mówił głośno do siebie. Czynił to jednak tylko wówczas, gdy miał przy sobie swojego psa. Anton stał się jego słuchaczem. Wydawało się przy tym, że nadstawiał uszy, nasłuchując. Wydawało się, że wszystko rozumie.

„Pieniądze i żądza” — powiedział Harald Fein do Antona, spoglądając w

górze na szóste piętro. Palilo się tam teraz przyćmione, czerwone światło, rozplywające się miękko w ciemnościach. „Żądza pieniędzy i pieniądza na zaspokojenie żądz. Wir, którego mało kto jest w stanie uniknąć — chociażby nawet nie chciał się dać wciągnąć. Ale ja chcę! Nareszcie chcę. Rozumiesz?”

Pies tymczasem położył się znowu na tylnym siedzeniu i kiwał zadnie głową. Ale tylko dlatego, że chciał polizać przednie łapy. Potem zaczął znowu obserwować człowieka, stojącego w cieniu za drzwiami.

Paul Plattner przyglądał się nie bez przyjemności stojącemu przed nim Joachimowi Jonassowi, drugiemu dyrektorowi przedsiębiorstwa. „Mój drogi, wygląda pan po prostu atrakcyjnie!”

„Dla dobra naszej firmy” — zapewnił niemal uroczyście Joachim Jonass. Miał na sobie rdzawy, aksaminowy smoking; zaopatrywał się u Cardina w Paryżu.

„Proszono mnie, żebym towarzyszył pańskiej córce na pewnej imprezie dla wta-jemniczonych: „London Pub” obchodzi trzecią rocznicę swojego istnienia.

„Jest to na pewno rzecz godna uwagi!” — powiedział Paul Plattner pobłażliwie. „Ale nasza placówka budowlana nr 14 również zasługuje na uwagę. A tam się wszystko wali! To co się tam dzieje, mogą nazwać jedynie działaniem na szkodę firmy”.

„Którego jednak mnie pan zarzucić nie może?”

„A więc komu? — może Feinowi?”

„W każdym razie nie mnie; to nie mój resort. Pozwól sobie zresztą zauważyć, że mnie by się nie takiego nie zdarzyło. Robię co mogę”.

„Także w sprawach dotyczących mojej córki?”

„We wszystkich sprawach, panie Plattner!”

„No, dobrze, od dziś zajmnie się pan także placówką nr 14. Wszystko inne może poczekać — w tym wypadku także moja córka”.

„Przygotowałam Martini” — powiedziała zapraszając Hilda Fein do przyjaciółki Melanii Weber, którą gościła w swojej willi w Monachium — Harlaching. „Extra dry! Lubisz to, prawda?”

„Nie tylko to” — powiedziała Melania Weber, sadowiąc się wygodnie w fotelu. Lubie po prostu wszystko, co pasuje do naszego świata. Wszystko, co utwierdza nasze przekonanie. Szkoda Harald — co naprawdę spisała go na straty? Zupelnie!”

„W gruncie rzeczy wcale nie jest jednym z nas” — stwierdziła rzeczowo Hilda Fein. „Sądzę, że zgadzamy się co do tego?”

„Definitywnie?”

„Czy nie, Melanio? A może znowu się nim interesujesz?”

„W każdym razie, moja droga Hildo, wciąż zadaje sobie pytanie, dlaczego właściwie wyszła za niego za małż.”

„To było przed bez mała dwudziestu laty! Mój Boże, Melanio, ile rzeczy zdarzyło się od tego czasu!”

„A tak naprawdę — jakich rzeczy?”

„Czy musimy o tym mówić?”

„Dobrze, musimy o tym mówić. „Dotychczas nie robiliśmy tego — więc zostawiamy przy tym. Wystarczy chyba to, że jesteśmy — i że jest to wszystko, co do nas należy. Włącznie do nas”.

„Jakaż to prawda, Hildo, gołabku, kochanie!” Melania Weber ujęła czule dłoń przyjaciółki. Zaden mężczyzna nie zasługiwał na to, żebyśmy się nim bliżej zajmowały. Harald Fein także nie. I Jonass także nie — prawda? A może się mylę?”

Człowiek, który stał w cieniu, w korytarzu domu przy ulicy V 33 był wysoki i szczupły. Miał bladą twarz, która wydawała się świecić w ciemności. Nie można było rozpoznać jego rysów.

Stał i patrzył na ulicę. Godzinami. Gdy ktoś zbliżył się do domu — cofał się w tył. Gdy ktoś wchodził do domu — zniknął w piwnicy. Bezgłośnie, jakby miał buty na gumowych poddeszkach.

Gdy był znowu sam — podchodził do drzwi i patrzył na zegarek.

Potem przepisywał coś gorączkowo w swoim notesie — zaledwie dwa, trzy słowa, albo liczby. Albo jakieś nazwisko. A może tylko hasło.

Potem znowu nikał w cieniu. Nazwał się Penatsch.

Nie ulegało wątpliwości, że ulica V, przy której znajdował się rzeczony budynek nr 33 nie leżała na bezpośredniej drodze Harald Feina do domu.

Poza tym nie było tam jakiegos nieuniknionego rozgałęzienia ulic, ani też żadnego objazdu. Dom jego bowiem — a mówiąc ściślej willa jego żony leżała na trasie do dzielnicy Grünwald. A jego biuro — czyli znowu gwoli ścisłości — biuro firmy budowlanej Plattner, zatem biuro jego teścia — znajdowało się przy Marienplatz, dokładnie naprzeciwko ratusza.

Jednakże było to Monachium: uznane za światowe miasto z sercem najbardziej rozległego państwa, Republiki Federalnej — „Tajemna stolica Niemiec” — „miasto, w którym zaczyna się Balkany” — miasto browarów, piwiarni i festynów paździenikowych — miasto, które stać było na Schwabing, Wiernewald — Imperium, dworskie intrzygi w kawiarniach pod gołym niebem, bunt w studenckie i teatry kameralne plus Werkrumbaetheater.

Sumując: niesłychanie eleganckie miasto. Dosyć tu miejsca — także dla superkapitalistów i kryminalistów z towarzyszywa: dosyć miejsca na demonstrowanie podbrzusza, nazwane sztuką filmową i wszelkiego rodzaju macenie umysłów: piękny Konsul, gruby Aleks — bywalce luksusowych lokali, tagoda na Iris i aksaminny Abi... W tym mieście uważano za światowca pewnego Jamesa, zwanego także „Sir James”. Było to równocześnie miasto, w którym Sigi Sommer pisał swoje pełne zjadliwego humoru uwagi, gdzie powstały uszczupliwie, zdumiewająco trafne rysunki Ernsta Maril Langsa, gdzie napominał ludzi cicho, lecz wytrwale Erich Kästner, gdzie uśmiechał się mądrze i tajemniczo Heinz Rühmann, gdzie Therese Glense spoglądała z coraz większą wściekłością i gdzie rozbrzmiewał głośny i niski śmiech Hanne Wiedera.

Było to także miasto, w którym buntowała się część młodzieży, była to część znikoma, ale na szczęście buntowała się głośno. Bez widocznej wytrwałości, ale zawsze z radością. Aby następnie — na to przynajmniej wyglądało — poświęcić się innym uciechom:

zapamiętałej paplaninie w studenckich budach i wydechaniu słodkiego zapachu chorego świata — haszyszu.

W ciągu jednego roku policja zarekwirowała w tym mieście i jego najbliższej okolicy pięć setnarów narkotyków. Jeden ze speców policji kryminalnej oświadczył, że jest to „prawdopodobnie znikomy procent towaru, który znajduje się na tutejszym rynku”. Nawet dzieci szkolne zaczęły wdychać haszys — i to także we wsiach, położonych na najdalszych peryferiach miasta. Ten nałóg włączył je wreszcie do miejskiej wspólnoty.

To, że ten kociol czarownic nie wykpiął, ani też po prostu nie eksplodował, można było zawdzięczać — jak się wydaje — jednemu jedyemu człowiekowi: nadburmistrzowi tego miasta. Jednakże opisywana tu afery przysporzyła i jemu poważnych kłopotów. Przy czym z całą pewnością można założyć, że jego przeciwnicy polityczni i inni miodliłi się właśnie o coś takiego.

W tym mieście było zawsze pod dostatkiem kociolów.

Funkcjonariusz policji kryminalnej Feldmann, w wiele dni później, podczas jednego z pierwszych oficjalnych przesłuchań

„Panie Fein, ile czasu zużywa pan na drogę z domu do biura — względnie odwrotnie?”

H.F.: „Jakiś kwadrans. Ale tylko podczas normalnego ruchu. W tak zwanych godzinach szczytu — może to właśnie ruch w tym czasie należałoby nazwać normalnym — potrzeba mi pół godziny albo i więcej!”

Funkcjonariusz: „Prace w biurze rozpoczyna pan około dziewiątej rano. Kiedy pan ją kończy?”

H.F.: „To zależy. Oficjalnie — koło piątej po południu. Ale często się to bardzo przeciąga. Zdarza się czasem, że przychodzi do domu dopiero koło północy!”

Funkcjonariusz: „Czy także wówczas gdy wychodzi pan z biura już przed ośmiemnastą?”

H.F.: „A dlaczegożby nie? Ostatecznie, mogę chyba dowolnie rozporządzać swoim czasem. Czyżbym się mylił?”

Funkcjonariusz: „Oczywiście — na ogół tak. To zależy!”

H.F.: „Od czego, jeśli mi wolno zapytać?”

Funkcjonariusz: „No, cóż — od tego, na co pan poświęca ten czas”.

Z zapisów funkcjonariusza policji kryminalnej, Kellera

„Dni, które mam jeszcze do przeżywania, wydają się monotonne i podobne do siebie jak zwłoki, z którymi — jako urzędnik policji kryminalnej — mam stałe do czynienia.

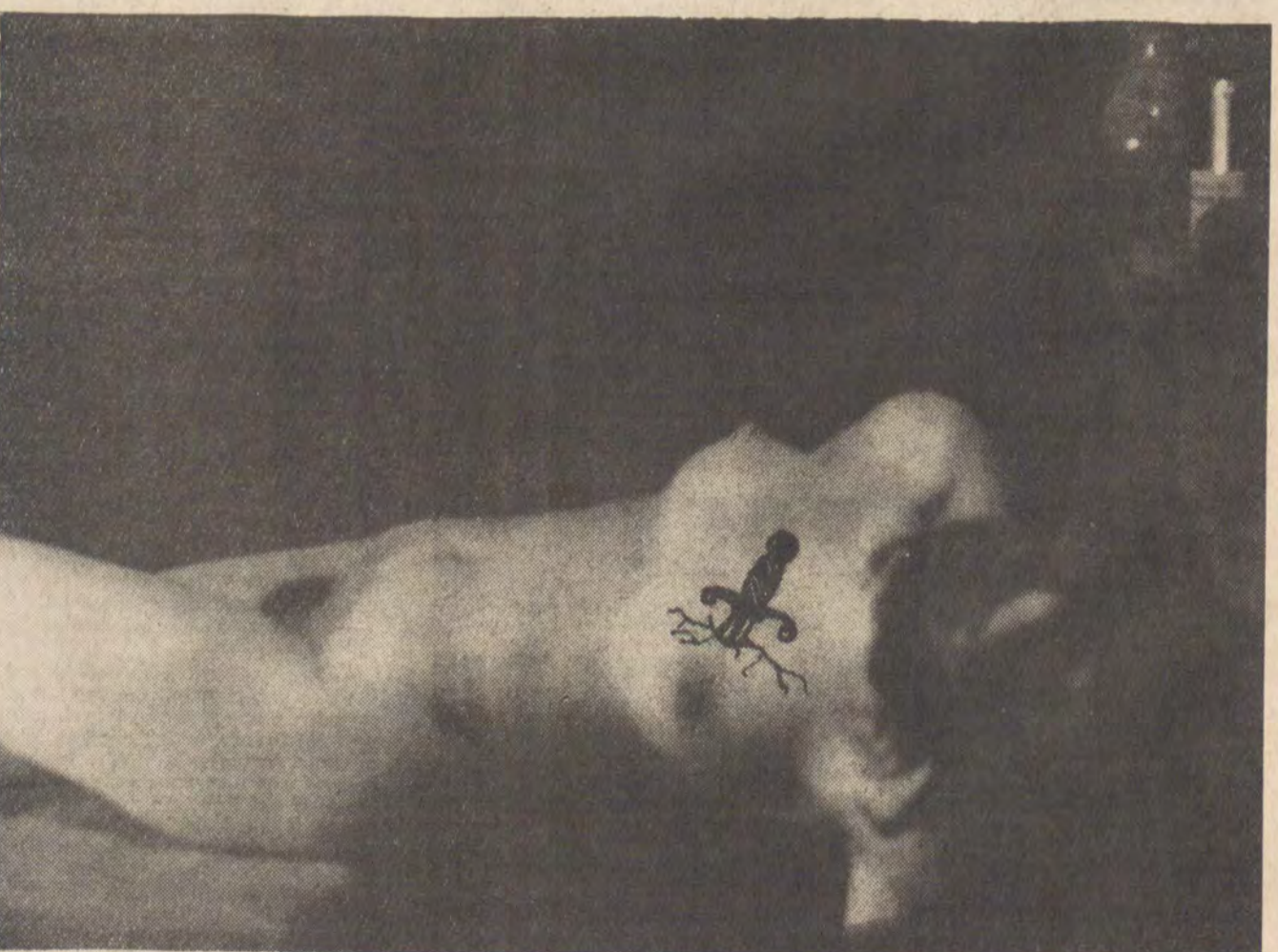
Zwłoki we wszystkich możliwych pozycjach: wyprostowane, skurczone, siedzące, wiskające, leżące na brzuchu. Zwłoki we wszystkich możliwych miejscach: na łóżku, obok łóżka, pod łóżkiem, na oknie, na klatce schodowej, w toalecie, w aucie, na środku ulicy, pływające w rzecze. Zwłoki, którym zadano wszelkie możliwe rany, lub które okaleczono na różne sposoby: odcięte członki, głowy, rozprute brzuchy i tak dalej i tym podobnie. Wszystko to jest dla nas chlebem powszednim. Rutyną. Takie rzeczy załatwiamy w oparciu o precyzyjnie wykonowane formularze. Wypełniamy ich około tysiąca w roku.

Mimo to: niekiedy zdarza się coś, co wydaje się przelamywać tę nużącą praktykę. Na przykład wówczas, gdy kolega Braun obwieścił głośno i z nadzieją: „Nareszcie złowiliśmy naprawdę grubą rybę!”

Mówiąc te słowa, miał na myśli niejakiego Harald Feina.

Tłumaczyła:

BRYGIDA JODKOWSKA



POGRZEB KRÓLA



FOTOREPORTAŻ - W. PARYS



Jesienią tego roku w Krakowie, o godzinie 17,30 ruszył żałobny kondukt. Z całą paradą chowano parę królewską — Kazimierza Jagiellończyka i jego żonę Elżbietę Rakuszańkę de domo Habsburg (była córką Albrechta Habsburga).

To nie pomyłka. Jesienią tego roku odbył się powtórny pogrzeb królewskiej pary, której szczątki przeniesiono do Kaplicy Świętokrzyskiej na Wawelu. Podobne wydarzenie miało miejsce, także na Wawelu, równo 113 lat temu. Otóż w roku 1860 odbył się powtórny pogrzeb króla Kazimierza Wielkiego, które-

go trumnę przeniesiono do odnowionego grobowca.

Na naszych zdjęciach widzimy członków Bractwa Kurkowego, starej mieszczańskie organizacji obronnej, która liczy sobie ponad 600 lat. Dziś jest to już oczywiście tylko kontynuacja tradycji, coś w rodzaju historycznego skansenu obrzędów, strojów i insygniów. Warto jednak wspomnieć, że w wiekach średnich wszystkie większe miasta miały Bractwa, grupujące strzelców. Królowie, uznając użyteczność takich stowarzyszeń, chętnie nadawali im przywileje. Najstarsze wiadomości o takich Bractwach pochodzą właśnie z Krakowa, Warsza-

wy, Torunia i Poznania. Co-rocennie odbywały się zawody w strzelaniu do kura (stąd nazwa), najlepszy strzelec zdobywał miano „króla kurkowego” oraz wysoką nagrodę pieniężną. Nie tylko zresztą, król kurkowy otrzymywał także przywileje, np. nie płacił podatków lub mógł wprowadzać bez cła wino i towary.

Widniejący na zdjęciu wielki, srebrny kur jest symbolem nocnego czuwania w niebezpieczeństwie i stanowi okaz sztuki złotniczej, z której Kraków słynął w XV i XVI wieku.

W czasie uroczystości pogrzebowych królewskiej pary chór odśpiewał XV-wieczny

tryptyk, powstały z okazji zawarcia Pokoju Toruńskiego. Był to jeden z większych sukcesów politycznych Kazimierza Jagiellończyka i nie dziwnego, że w blisko 500 lat po śmierci króla przypomniano mu nad grobem to wydarzenie.

Otóż Pokój Toruński (1466) kończył trzynastoletnią wojnę z Krzyżakami. Mocą postanowień pokojowych przyłączono wówczas do Polski Pomorze Gdańskie i inne ziemie wchodzące w skład tzw. Prus Królewskich. Umocnił się wówczas Jagiellończyk na froncie, umocniło się mocarstwowe stanowisko Polski, a królowi pozwoliło na prowadzenie polityki nawet

wbrew intencjom papieża. W parę lat potem Kazimierz Jagiellończyk objął tron czeski — w porozumieniu zresztą z narodowym obozem czeskim. W roku 1490 zasiadał także na tronie węgierskim.

Kazimierz Jagiellończyk był jednym z wybitniejszych władców Polski, a panowanie jego na trwałe zapisało się w historii odzyskania ujścia Wisły. W dziedzinie kultury umysłowej także nie był to okres jałowy. Wówczas to przecież powstała „Historia Polski” Jana Długosza, wówczas to tworzył w Krakowie Wit Stwosż, a w Akademii Krakowskiej postępowy humanizm wypierał ostatecznie dawną scholastykę, dając po-

czątek nowym prądom.

W czerwcu 1492 roku, po pięćdziesięciu dwu latach panowania, umiera w Grodnie ten mądry król, godny następcą swego ojca, Władysława Jagielly. Złożono jego ciało na Wawelu. Po blisko 500 latach konieczność prac archeologicznych i zabezpieczenia budowli sprawiła, że odkryto grobowiec.

Ale powtórny pogrzeb wyprawiono mu królewski — taki, jaki się należał jednemu z wybitniejszych władców Polski. Myślę, że tę powagę i godność owego pogrzebu dobrze uchwycił na swych zdjęciach nasz fotoreporter.

J. WIL.

Dalszy ciąg ze str. 3

dokonał trzech rzeczy na raz: ukończył wydział energetyczny Politechniki Łódzkiej, podjął pracę w „Polfie” (to już 18 lat!) i ożenił się. W rok później przyszła na świat córka Ewa, która jest uczennicą I klasy liceum. Dopiero w r. 1961, będąc członkiem pierwszej w Pabianicach spółdzielni mieszkaniowej „Wspólna Strzecha”, otrzymał mieszkanie, w którym teraz rozmawiamy.

I to by było tyle biografii, z której wynika, że Wdowiński poznał kawałek życia, ludzi też, zasnął biedą, jak przystało na pokolenie urodzone jeszcze przed wojną, w związku z czym powinien rozumieć człowieka i łatwo nawiązywać z nim kontakt.

— Tak, to by się zgadzało — mówi. — Weźmy dla przykładu „Polfę”. Z racji pełnionej funkcji zawodowej chodzę po całym zakładzie i wszędzie stykam się z ludźmi. A że jestem przewodniczącym kasy zapomogowo-pożyczkowej, więc siłą rzeczy muszę współpracować ze związkowcami. Ludzie naprawdę mają wiele kłopotów rodzinnych, trzeba im pomóc, no, choćby załatwić taką drobną sprawę jak nie potrącanie rat z pensji.

— A czy przychodzą do pana również jako do radnego?

— W zamian różne oprychy straszły nas w parku przy „Strzelniczy”...

— Poza tym — ciągnie Wdowiński — pracowałem też w komisji związanej z dawnym wydziałem spraw lokalowych, zajmującej się problemami zaniedbań w budownictwie mieszkaniowym, zasiadaniem lokali, skargami mieszkańców i kontrolą nad ich właściwą realizacją.

Komisja gospodarki komunalnej i mieszkaniowej zajmuje się wszystkimi podstawowymi sprawami, stanowiącymi życie miasta: woda w mieszkaniach, ogrzewanie, gaz, oświetlenie, czystość, drogi, zielen, komunikacja. No i stała współpraca mieszkańców i komitetów blokowych z administracją domów. Ogromny wachlarz zagadnień, wymagający od radnych wiele poświęceń, czasu, rozważań i zaangażowania.

Wdowiński uczestniczy w posiedzeniach komitetów blokowych. Sympię się wnioski, postulaty, bolączki w trakcie spotkań z mieszkańcami. Owszem, ciekawa praca, ale niewdzięczna. Bo radny nie zawsze mógł sprawę załatwić. Takie mowy: „Pan z nas kpi! Skąd, panie, to przepisy z nas kpi!” W drobnych sprawach może da się je ominąć, ale w tych ważniejszych... A te drobne sprawy, najbardziej dokuczliwe. Musi być źródł uliczny, żeby ludzie nie



Mgr inż. Witold Wdowiński

Fot. W. Paryś

tach oczekiwania będzie wreszcie ten szpital. Zmieniły się czasy, sposób myślenia...

Myślę, że radny powinien mieć jakiś sukces w swej pracy. Wdowiński miał taki, jeszcze przed laty, dotyczący w zasadzie drobnej ludzkiej sprawy. Zwrócił się do niego przewodniczący komitetu blokowego ze Śródmieścia. Chodziło o jednego z pracowników z sąsiedniego zakładu pracy. Robotnik mieszkał w domku rodzinnym. Małeńka kuchnia i poikołek o powierzchni 18 m kw. Ze ścian lała się woda. W tym mieszkaniu gnieździło się dziewięć osób, w tym 80-letnia babcia, która nigdy nie opuszczała łóżka. W ogóle w tym mieszkaniu znajdowały się tylko łóżka, na których składowało się odzież, spalo i jadło. Kolatki, gdzie się dala i ludzie wkrótce otrzymali mieszkanie. Miał to zadolenie, że potrafił komuś pomóc, i że jego interwencja odniosła skutek.

— No, a w ostatnich czasach? — pytam.

Odpowiedź wyprzedza Piotruś, rezolutny, jasnowłosy brzdęk, który ma zaledwie 3 lata, ale twierdzi, że w przedszkolu jest starszakiem, bo potrafi sam włożyć i zdjąć spodnie. Teraz zaczął trenować koszykówkę, piłka frunęła na stół, zadzwoniła szklanka z kawą. Matka zamierzała mu skrobnąć, ale ojciec prosi:

— Nie, nie rób mu krzywdy...

— No, widzi pan — rozpogadza się pani Natalia. — To jest ten największy sukces w ostatniej kadencji, przysięcie na świat następcy tron! — Chyba tak — śmieje się ojciec — ale już na poważnie, to powiem panu, że cieszy mnie wiele spraw. Podczas posiedzeń komisji gospodarki komunalnej i mieszkaniowej nie raz się kotłowało, dochodziło do wymiany ostrych zdań, ale może właśnie dzięki temu możemy poszczycić się osiągnięciami! Pracowaliśmy na podstawie rocznego planu, znajdowaliśmy zrozumienie w wydziale gospodarki komunalnej i mieszkaniowej. Staraliśmy się wspólnie usunąć hamulec stojące budownictwo mieszkaniowe, po kilkakroć rozpatrywałyśmy sprawę realizacji wniosków i postulatów mieszkańców. Kiedy inwestycja kulala, zapraszaliśmy osoby odpowiedzialne na rozmowy, podczas których wspólnie podejmowaliśmy kroki zmierzające do usunięcia niepowodzeń. Nie było uwag na temat złej pracy komisji, odczuwało się, że z naszym zdaniem każdy się liczy. Jako radny i pracownik techniczny, jestem szczególnie zadowolony, że po latach dyskusji miasto otrzyma własną ciepłownię. Na ciepło czekają

nie tylko mieszkania, ale i przemysł, myśli się więc także o stworzeniu zakładu sieci ciepłych. Sukcesem wszystkich radnych jest wprowadzenie w Pabianicach komunikacji autobusowej oraz drugiej linii tramwajowej. Wywalczyliśmy też pełne usprzętowanie dla Zakładu Oczyszczania Miasta.

Mam też życzenia. Uważam, że w każdej komisji MRN powinni znajdować się przedstawiciele wszystkich dzielnic. Wtedy ma się szersze spojrzenie na potrzeby miasta, co pozwala równomiernie je zaspokajać. No i oświetlenie. Jest źle. Narzekają na nie zwłaszcza kobiety, wracające z nocnej i popołudniowej zmiany. To nie jest wcale sprawa marginesowa...

— A ja — wtrącam — jako mieszkaniec tego miasta też mam prośbę do radnego. Żeby zlikwidować te „mijanki”, na których często tramwaje muszą czekać na siebie. Ludzi to denerwuje.

— To się załatwi! Ale najpierw trzeba założyć kanalizację, która jest zaplanowana właśnie pod torami. Gdybyśmy ułożyli najpierw szyny, trzeba by je było potem rozkopywać...

— Ciekawe — rzucam od niechcienia — czy jest jakaś recepta na dobrego radnego?

— Recepty to chyba nie ma, ale z własnego doświadczenia mogę coś na ten temat powiedzieć. Radny winien być przede wszystkim aktywny, wrażliwy i uparty. Musi rozumieć ludzi, uważnie wysłuchiwać ich bolączek, przekazywać je odpowiednim władzom, ucieszać na ludzką krzywdę. Ludzie bardzo angażują się w życie swojego osiedla, domu, ulicy. Oni nie przechodzą obojętnie obok złamanego drzewka, kupy śmieci, brudnej klitki schodowej. Nie wyobrażam sobie, aby dla ludzi przagnących wykonać jakąś dobrą, społeczną robotę, zabrakło np. materiałów czy narzędzi... Radny, i nie tylko on, powinien uczyć się od ludzi starszych gospodarstwo. I baczyć na obserwacji otaczającego życia. Chodząc po mieście, dostrzegać problemy dręczące nie tylko własną dzielnicę; nie czekać na sesję, lecz od razu, tak na co dzień, interweniować u odpowiedzialnych instancji.

— No, dobrze, ale co o takim dobrym radnym sądzi pani Natalia? — zwracam się do pani Natalii.

— Wcale nie mówię, że ja jestem takim radnym — broni się Wdowiński.

— Zna, proszę pana, twierdzi, że maż ma dwie pasje: radę narodową i „Syrkę”. Zawsze po pracy idzie do tej pierwszej. Tak jest od szes-

nastu lat! On nawet na chorobę nie ma czasu. W ciągu 19 lat był dwa razy na trzydniowym zwolnieniu. To się na mnie odbija. Do tego stopnia, że muszę mu nawet urządzić prasówkę, gdyż na czytanie gazet też sobie nie może pozwolić.

Wstaje rano i powtarza: już za pięć siódma, już za pięć siódma, chyba nie zdąży zjeść śniadania. Nie, ja żartuję! Zdąży zawsze przynieść pieczywo i mleko! Ale często wymijamy się w drzwiach, zwłaszcza wtedy, kiedy ja idę na szkolenie partyjne, którego jestem kierownikiem. Ja tak niby psioczę, ale muszę mieć pochwalić, bo on pewnie by się nie odważył. Posiada Srebrny Krzyż Zasługi, Oznakę Zasłużonego dla Woj. Łódzkiego oraz Srebrną Oznakę Zw. Zaw. Chemiczków...

Udział w spotkaniach z wyborcami, sesje i posiedzenia MRN. Praca w Zespole Szkół Zawodowych nr 3, gdzie jest wychowawcą klasy. On to sobie cenil. Kontakt z młodzieżą, wychowywanie własnych, przyszłych pracowników. Najlepszych ściąga na wydział energetyczny.

A kiedy zostaje trochę wolnego czasu po pracy, to jest zabawa z synem, „konsultacje” z córką Ewą (mogą być trudności w nauce, ale takie życiowe sprawy też), czytanie literatury fachowej. Gorzej, gdy wypadnie wyjazd na delegację albo jakieś kursy dokształcające.

— Więc co mi jeszcze zostaje, proszę pana? Czasem pozmywać statki, podszykować „Syrkę”, zawieźć „stadko” do Kolumny, odwiedzić rodzinę. Nie lubię zająć po 19.30, bo wtedy nie mogę obejrzeć dziennika w telewizji. Spać kładę się o 24.00, ale dzięki Bogu sen mam dobry i nieraz korzystam z pomocy zegarnik...

Zabieram się do wyjścia. Mały Piotrek leży na dywanie i z kolorowej układanki konstruuje mozołnie samochód.

— To kim ty będziesz, Piotruś? — pytam, kiedy na pożegnanie podaje mi rączkę.

— Ja będę budowniczym!

Ano tak, żeby zbudować drugą Polskę, potrzebni są budowniczy. Zastanawiam się jednak, czy mały Piotrek będzie musiał wkładać tyle wysiłku w tę budowę, co jego ojciec. Wdowiński jest skromny, ale kiedy patrzę na wieczorne miasto, myślę, że w przeobrażeniach, dostrzeganych w tym mieście na każdym kroku jest także udział radnego z „Polfy”. I chyba nie przeciętny...

RYSZARD BINKOWSKI

NA CHOROBE NIE MAM CZASU

— Oczywiście. Na przykład niedawno ożenił się mój pracownik. Mieszkał wraz z teściami w małym pokoiku z kuchnią. Chciał kupić lokal od MRN, są przecież przepisy pozwalające na kupno. Stawiałem tę sprawę na sesjach partyjnym radnych, ale okazało się, że w takim wypadku nabywca musi zdać poprzednie lokum. Tylko, że on nie ma nic do zdania, trzeba więc pomyśleć o jakimś innym rozwiązaniu.

Pracownicy przychodzą również do zaopiniowania podań o przyspieszenie przydziału mieszkania przez spółdzielnię mieszkaniową. Zakład przecież ma swój udział w spółdzielni. Sumienny, zdolny pracownik mieszka z żoną i dwójkiem dzieci w jednym pokoju o powierzchni 20 m kw. Opiniuję więc jak najlepiej, teraz trzeba tylko czekać na rychłą realizację przydziału...

— Od dawna pan jest radnym? Zastanawia się chwilę i mówi:

— No, chyba dwie kadencje. — Zaraz, zaraz — przerywa żona Natalia — z tą, która zakończy się w listopadzie, to już trzy. Ja jestem dokładna, bo najbardziej to odczuwam.

Po uzgodnieniu okazuje się, że w swojej pierwszej kadencji był członkiem komisji socjalnej, w drugiej przewodniczącym tej komisji, a obecnie przewodniczącym komisji gospodarki komunalnej i mieszkaniowej. — A jeszcze przedtem — dodaje małżonka — był przewodniczącym kolegium karno-administracyjnego.

Tak, ale nie mogłem wysłuchiwać tych wszystkich tragedii rodzinnych. Pijaństwo, bójki, awantury, głodne dzieci, zapłakane kobiety. Nakładanie kary nie dawało mi żadnej satysfakcji, bo wzięcie lub grzywna dla ojców, to w jakimś stopniu odejmowanie dzieciom chleba od ust...

flukli się kilometr po wodę; jeśli przybył plenił się na ścianach, trzeba go usunąć, bo ludzie chorują na stawy; nabiedzi się kobięcina, pomaluje sobie mieszkanie, a tu jej woda wieszkała zalewa! Może radny pomoże? Radny chodzi, stuką do różnych drzwi, pomaga.

— Proszę pana, był taki duży, dwupiętrowy dom przy ul. Waryńskiego, całkowicie pozbawiony wody, nawet studni w podwórku nie było. W tym domu mieszkali prawie sami renciści. Babcie i dziadkowie telepalili się z wódrami do odległego o 100 m źródła. Staralem się jakoś załatwić tę sprawę, ale ciągnęło się to przez dwie kadencje, gdyż na tej ulicy nie było wodociągu. Ostatecznie, jakkolwiek połowicznie, dopiełem swego. Jest przynajmniej woda w podwórku. Dyrekcja MZBM podłączyła ten dom do rurociągu, doprowadzającego wodę do pobliskiej szkoły...

A więc w pracy radnego są również bariery i przeszkody. Z czego one wynikają? Między innymi z dysproporcji między budownictwem starym i nowym. W śródmieściu na miejscu biednych domków rodzinnych stoją wieżowce. Sąsiadują z nimi pozostałe jeszcze domki rodzinne. Ich mieszkańcy patrzą z zawieszcą i żalem na wieżowce, pytają, kiedy oni wreszcie będą mogli po ludzku zamieszkać. Pragnienie zaczyna się spełniać. Do opuszczonych mieszkań w domkach rodzinnych już nie wprowadza się nowych lokatorów. Na Bugaju buduje się dwa pierwsze bloki. Bedzie tam osiedle na 20 tysięcy mieszkańców.

Źródłem niepowodzeń był stały brak funduszy na inwestycje. Każdy rozumiał, że Pabianicom potrzebny jest szpital z prawdziwego zdarzenia, ale taka inwestycja kosztuje kilkadziesiąt milionów złotych. Po wielu la-



Maria Szczucka-Kudanowska — Olimpia i Janusz Zipser-Hoffmann. Fot. J. Neugebauer

FANTASTYKA I REALIZM

Ernest, Teodor, Amadeusz Hoffmann. Niezrównany mistrz prozy fantastycznej, eseista i krytyk muzyczny, dyrygent i kompozytor. Młoda na Hoffmanna przemiłowała wraz z epoką, która go wydała. A jednak — nie wszystkie umiały. Jego opowiadania stały się źródłem natchnienia i twórczym dziełem innych artystów, a on sam stał się postacią tytułową jednej opery Jakuba Offenbacha. Trzy nowele Hoffmanna zostały tu udratyzowane i przebudowane w ten sposób, że ich autor jako główny bohater przeżywa na scenie historie swoich nieszczyśliwych miłości, które opowiada studentom w norymberskim winiarni. We wszystkich perypetiach losu towarzyszy mu jego muza, wcielona w przyjaciela Mikolajka, nie odstępuje go zły duch jego życia, przybierając coraz to inną złowieszcza postać. W myśli intencji Offenbacha także obiekty miłości Hoffmanna: Olimpia, Giulietta, Antonia i Stella winny być grane przez tę samą aktorkę.

Głównie z NRD wykonali swą robotę solidnie, budując spektakl przemysłowy, korzystając szeroko z technicznych możliwości teatru. Przed premierą zapowiedzieli, że pragną przeciwstawić sobie realność i fantastykę. Na ogół im się to udało, choć z pewnością sceny realistyczne wyszły im znacznie lepiej. Sceny fantastyczne wypadły raczej dość biedo. Działania aktorskie wydatnie wspomaga oszczędna i funkcjonalna scenografia Maxa Eltena i Hansa Clausa. Dużo tu ciekawych pomysłów, jak np. celowe wykorzystanie zapadniętej kłódki, której w ciągu kilku sekund na miejsce uroczej wigniarli Lutra pojawia się pracownia Cop-

pellusa, stylizowana w kierunku bajkowego dziecięcego prymitywizmu. Pełen swobodnego uroku był pierwszy obraz drugiego weneckiego aktu, dobrze też z ponurym nastrojem III aktu harmonizowały ciemne barwy domu Crespia.

Reżyser Günther Lohse prowadził akcję logicznie, chociaż nie zdążył chyba dopracować swych wszystkich zamysłów. Sceny zbiorowe w winiarni pozbawione są zupełnie atmosfery żywiołowej swobody i beztroski. Wszystko tu odbywa się jakby na komendę: grupa wstaje, grupa pije, grupa śpiewa, grupa siada. Znaczenie lepiej wyrażona jest scena zespołowa w I akcie, a stylizacja ogólnego tańca, w którym wszyscy tańczący stopniowo upodabniają się do ruchów tańczącej mechanicznej lalki, jest pomysłem przedniej marki. Ale już polonezowe wyjście gości razi brakiem elementarnej kultury tańca. Brakiem umiaru natomiast razi scena, w której Coppellus po dokonaniu zemsty, rzuca się na Spalanzanego i uderza go kądziubem strzaskaniej lalki. Niemniej akt I jest w sumie efektywny i udany.

Ślaby pod względem inscenizacyjnym jest akt II, a usytuowanie akcji w głębi sceny nie sprzyja czytelności tekstu, którą dodatkowo utrudnia zbyt głośno grająca orkiestra. Najbardziej zwarty dramatycznie jest akt III, choć i tu nie uniknięto pewnego przesadzenia w poszukiwaniu efektu dla efektu.

Rolę wiodącą, decydującą o przebiegu wydarzeń w „Opowieściach Hoffmanna” spełnia tajemnicza, złowroga postać złego ducha poety Lindorfa, Coppellusa. Dampertuto i dra Mirakla. To wielka kreacja

MUZYKA

Władysława Malczewskiego. Malczewski nie gra, lecz identyfikuje się z postacią i dzięki temu osiąga duże efekty przy stosowaniu bardzo oszczędnych środków wyrazu. No i znakomicie śpiewa. Odmienienie, choć także interesujące, potraktował rolę Zdzisław Krzywicki. Śpiewa z ekspresją, choć zbyt mało różnicuje dynamikę, nadużywając forte. Reprezentuje też inny typ aktorstwa, charakterystycznego się większą ruchliwością i ekspresją gestu.

Rolę tytułową śpiewał na pierwszej premierze: Janusz Zipsper i na drugiej Tadeusz Kopacki. To także dwie różne indywidualności. Hoffmann w ujęciu Zipspera jest bardziej liryczny, reprezentuje typ refleksyjny, zamknięty w sobie. Jako wokalista Zipsper zademonstrował piękne prowadzenie głosu, którym swobodnie operuje także w najwzruszających rejestrach skali. Nicco gorzej brzmi u niego średnica. Pięknym rejestrem środkowym dysponuje natomiast Tadeusz Kopacki. Mięwa on jednak kłopoty z górą skali: ujawnił się one w drugiej części spektaklu, kiedy to dało znać o sobie zmezczenie. Tadeusz Kopacki stworzył jednak bardzo dynamiczną postać Hoffmanna. To właśnie dziełem niemu spektaklu na drugiej niedzielnej premierze nabrał żywszego tempa, poczynał od śpiewanej z temperamentem piosenki o karle. Zawazyło to też na następnych aktach, które w pierwszej premierze niekiedy raziły diużyznami.

Prostota i wdzięk scenicznego, pięknego głosu i muzykalność, to znane atuty Delfiny Ambrozjak jako Antonii. Dobrze w tej samej roli zaprezentowała się również Kira Andrea, jakkolwiek ze względu na jej duży głos partia wokalna Antonii nie jest dla niej najbardziej odpowiednią. Wyrazista, przejmująca postać Crespia stworzył Stanisław Michański, łączący harmonijnie wyborne aktorstwo z walorami wokality i muzycznymi. Dobrze też śpiewał niedzielny Srespel, Ryszard Czożala.

W połowie listopada mieliśmy okazję oglądać w Teatrze Wielkim do-bry — z rozmachem zrealizowany — koncert „Dobry wieczór — tu Łódź...” Pierwsza część tego koncertu emitowana będzie jeszcze w tym miesiącu, druga dopiero w święta. Był to więc koncert-gigant, który telewizjom wypełni aż dwa wieczory. Nikogo nie zdziwi, że współorganizatorem tego koncertu (wspólnie z Telewizją) było Stowarzyszenie Muzyki Estradowej — instytucja nader rzutka i operatywna, której współudział w kształtowaniu polskiej rozrywki jest olbrzymi.

Pierwszą część widowiska autorzy scenariusza (Ryszard Czubaczyński i Janusz Rzeszewski) oparli o tradycje łódzkiego folkloru miejskiego, i trze-

udało się jednak Czubaczyńskiemu i Rzeszewskiemu, w oparciu o tradycje łódzkiego folkloru przewieźć nas „wehikułem czasu” przez lata minio-ne aż do finałowej piosenki mówiącej już o nowej Łodzi. Udało się to autorom — powiedzieli nam wiele, nie wypadając z przyjętej konwencji.

Drugą część koncertu wypełniła świąteczna rewia z udziałem znanych gwiazd estrady i telewizji. Odpowiednio ugarbiowana przepyszną scenografią i ewolucjami baletowymi — była jednak głównie prezentacją współczesnej — premierowej piosenki.

Głównie, lecz nie wyłącznie. Swoistym rodzynkiem był tu występ kabaretu TEY z Poznania, występ znany już Łodzianom z lipcowego kon-

KONCERT - GIGANT

ba przyznać, że zrobiono to inteligentnie i z fajerem. Współczesne teksty przemieszane z oryginalnymi utworami z lat minionych stopły się w jedną całość — zwartą i jednorodną. Tam natomiast, gdzie owe samorodne teksty z lat dwudziestych i trzydziestych mogłyby współczesnego widza razić melodramatycznością, reżyser widowiska, Janusz Rzeszewski, poszedł w kierunku cieniutkiej parodii, co utworom przydało swoistego smaku.

Słowem — był to koncert dobrze pomyślany i dobrze zrealizowany. Jeśli dodamy do tego piękną scenografię Mariana Stańczaka i grupę baletową „Le soleil” Janiny Niesobskiej, możemy sobie wyobrazić ową barwę i rytm widowiska. A wiadomo, że nie jest łatwo zawrzeć w lekkiej i zajmującej formie treści, które niosła pierwsza część koncertu.



Fot. W. Parys

certu w widzewskim amfiteatrze, ale wciąż bawący na nowo, jako że humor TEY-u mocno osadzony jest w naszej codzienności i kontakt między wykonawcą a odbiorcą jest tu bezbłędny.

O wartości rewiowej części koncertu stanowiły jednak piosenki. Było ich sporo, że odwołam się do tytułu telewizyjnego cyklu — „lekkich, łatwych i przyjemnych”. Zarówno Stenia Kozłowska jak i Halina Kurnicka śpiewały utwory we własnych stylach, co zresztą zacydowało o sukcesie. Pamiętamy przecież niewypały repertuarowe piosenkarek, które porzucają swój wypracowany styl wykonawczy na rzecz niezbyt jasno sprecyzowanej pseudoambitnej piosenki. Na tym koncercie takich pomyłek nie było. Dobrą piosenkę śpiewał, tym razem samotnie, Bogdan Czyżewski, zabłysnął Krzysztof Krawczyk, jak sądzię przyszła gwiazda naszej estrady, piosenkarz o ogromnych możliwościach wokalnych. Świetna była solistka zespołu „Ptaki”, ciekawą piosenką premierową śpiewała Zdzisława Sońska, interesująco wypadła Jadwiga Strzelecka. Nie wspomnę już o „Bractwie Kurkowym”, „Alibabkach”, Bogdanie Lazurec...

W sumie blisko trzygodziny koncert wypełniono dobrą muzyką, zgromadzoną na estradzie sporo gwiazd, wiążąc całość widowiska dobrym tempem, bogatą scenografią i choreografią.

JERZY WILMAŃSKI

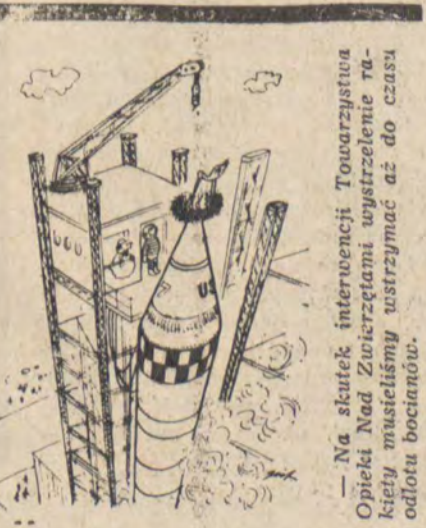
„Dobry wieczór — tu Łódź”. Scenariusz: Ryszard Czubaczyński i Janusz Rzeszewski. Reżyseria: Janusz Rzeszewski. Scenografia: Marian Stańczak. Choreografia: Janina Niesobka. Organizatorzy: Stowarzyszenie Muzyki Estradowej i TV (Łódź).

„Opowieść Hoffmanna” dała szerokie pole do popisu solistom. W akcie I — centralną postacią jest Olimpia, bardzo trudna rola śpiewającej lalki. Świetnie poradziła z nią sobie Maria Szczucka-Kudanowska, pokonując bezbłędnie wszystkie trudności należonej koloraturami partii (choć nie jest przecież śpiewaczką koloraturową), wzbudzając także podziw dojrzałym aktorstwem. Wysoko też oceniam występ Danuty Salskiej w tej samej roli. Akt II otwiera słynna barokowa śpiewana przez Mikołaja i Giuliettę. Piękny ten duet wymaga idealnego dostosowania barwy głosu. Pod tym względem Alicja Pawlak i Halina Romanowska tworzyły zespół bardziej wyrównany od pary — Izabela Kobus i Ewelina Kwaśniewska, choć każda z nich indywidualnie miała swe dobre momenty. Jest to zresztą na pewno zbyt mało powiedziane jeśli chodzi o rolę Mikołaja, która w tej operze, jako jedna z nielicznych, eksponowana jest od prologu aż po epilog. Obydwoje panie — Pawlak i Kobus — odnosiwały się w niej znakomicie. W epizodycznej, choć bardzo zróżnicowanej roli tenorowej (były to właściwie cztery odmiennie role) wystąpił z powodzeniem: Zbigniew Borkowski i Eugeniusz Senkarski, pokazując, zwłaszcza w III akcie, jak z małego epizodu można zrobić prawdziwy majsterstwyk.

Świetnie dla oczu i uszu prezentowali się: Eugeniusz Nizol i Zbigniew Jankowski w roli Schlemila. Zadania swe bezbłędnie wypełnili: Zbigniew Studier i Tadeusz Gawroński w roli fizyka Spalanzanego. Realizatorów spektaklu namawiałbym do tego, żeby odrywający się z zaświatów głos matki Antonii odrębnie przez dodanie sztucznego pogłosu. Piękny śpiew Jadwigi Mireckiej z pewnością na tym nie stracił. W obsadzie solistów nie było właściwie punktów słabych. Niech mi więc będzie wolno wymienić pozostałych, a więc Michała Marchutę i Tomasza Fiata, Witolda Marcinkiewicza, Jerzego Bandela, Halinę Szubską i Alicję Derkaż. Znaczną rolę miał też zespół chóralny. Realizatorowi spektaklu namawiałbym, żeby w ujęciu chóru, przygotowanego przez Witolda Mierza-Pospiecha i Zbigniewa Pawła był, jak zwykle, mocną częścią spektaklu, śpiewając czysto, precyzyjnie i muzykalnie. Orkiestra grała na średnim pozio-

nie, niekiedy dość skutecznie zagłuszając solistów, zwłaszcza w II i III akcie. Choreograf, pani Marion Schurath, jest autorką interesującego, stylowego układu romantycznej wstawki baletowej w II akcie, która jednak wydaje się całkowicie zbędna. Z programu nie wynika, czy i w jakim stopniu współdziałała ona w inscenizacji utanczonych scen zbiorowych w I akcie, które pod względem choreograficznym wypadły bardzo blado. Zachwycił natomiast piękne kostiumy, projektowane przez Eleonore Kiebler. Nie wymieniam jeszcze głównego bohatera ostatniej premiery w Teatrze: Jest nim doktor Zygmunt Latozowski, który sprawował kierownictwo muzyczne przedstawienia i z wzięcia sobie kultura prowadził za pulpitu dyrygenckiego obydwaj spektakle.

ZYGMUNT GZELLA



Na skutek interwencji Towarzystwa Opięki Nad Zwierzętami wystąpienie rakietki musielibyśmy wstrzymać aż do czasu odlotu bocianów.

ODESSA W PAŹDZIERNIKOWE LATO

Dalszy ciąg ze str. 1

których niewysokie domy oplecione są w zielone winorośle. Odessa — „perła nad Morzem Czarnym”. Z wysokiego bulwaru nadmorskiego, pod którym w dole, na wprost słynnych puomkinowskich scenodów widnieje budynek dworca morskiego — stąd właśnie widać na jak ogromnej przestrzeni rozciąga się to miasto. Ale to, co widać na wprost, trochę na lewo — w odległości chyba pięciu kilometrów przez zatokę — to już inna Odessa — dzielnica Luza-nowka. Rzędy długich bloków, strze-liste przecinki wysokościowców. Tu-bylec akceptuje i tę Odessę, ale jed-nak o dzielnicę nowych bloków wy-raża się dość pogardliwie — „pudełka do mieszkania”. A w centrum wszyst-ko jest swojskie i bliskie — blisko morze, wielkie magazyny, hotele, dworce, port lotniczy. Prawdziwy odessita musi tu zajrzeć przynajmniej raz na dwa dni — niezależnie od tego, jak daleko by nie mieszkał.

„IDĄ LUDZIE”

Teraz, w październiku, ulice Odessy są jasne, rozslonecznione. Jest ciepło, gdyby nie ten dach platanowych gałęzi, byłoby prawie upalnie. Osiępiają-co bieleją ściany i kolumnada budynku Rady Miejskiej, intensywnie biała jest stojąca na skwerku przed Muzeum Archeologicznym kopia „Grupy Laokoona”. To chyba najładniejszy zakątek miasta, najładniejszy i najbardziej swojski. Tędy właśnie idą ludzie na nadmorski bulwar Suworowa, „Idą ludzie” — to określenie właściwie niezbyt prawdziwe.

W Odessie nikt nie chodzi, a już — broń Boże — nie śpieszy się. Tutaj się przechadzają, spacerują. Pewnie jest tu więcej czasu niż gdziekolwiek w świecie: wystarczy go na wszystko. Jest czas pogapić się na kolejną wy-cieczkę fotografującą się uroczyscie pod pomnikiem Puszkina. Jest więc kiedy pogawędzić ze spotykanymi co krok znajomymi. Jest kiedy wymacać starannie pięćdziesiąt arbużów na straganie, żeby kupić ten najlepszy — pięćdziesiąty pierwszy. Jest kiedy wpaść na dłuższą pogawędkę z przy-jaciółmi do kawiarni hotelu „Krasnyj” i napić się najlepszej kawy w Związku Radzieckim: zaparza się ją w małych mosiężnych dzbanuszkach, w piasku rozsypanym na specjalnym ruszcie. A wszystko to odbywa się w atmosferze życzliwego uśmiechu, we-ształ serdeczności. W ten sposób łat-wiej znosi się drobne niewygody co-dziennosci: ekspedientka w sklepie żartem osłodzi ci brak potrzebnego

wiańskie. Tutaj też znajdowała się osada Kaczubej, po raz pierwszy wy-mieniona w dokumentach w 1415 r. W XV wieku tereny te i osadę zajęli Turcy, którzy na miejscu Kaczubeju zbudowali silną twierdzę Chadzubej. Została ona zdobita przez Rosjan do-piero w roku 1789, zaś pięć lat póź-niej zaczęto budować nowe miasto i port. Miasto rozwijało się bardzo szybko, już w połowie XIX wieku Odessa była znaczącym centrum han-dlowo-przemysłowym i kulturalnym. W 1817 powstało pierwsze liceum,

które za chwilę odjadą. Rosyjskie dworce mają swój szczególny koloryt, może dlatego, że podróże, które się od nich zaczynają, są przeważnie bar-dzo długie — na miarę tego kraju. Rosyjskie dworce są zawsze pełne, a wszystkie, nawet lotnicze — podróż lotnicza jest ciągle jeszcze dla nas czymś bardziej uroczystym niż wszyst-kie inne — są bardzo zwyczajne, swojskie: tu rzeczywiście podróż jest czymś, co stanowi część życia co-dziennego, a nie tylko świąteczną przerwę w życiu.



1830 — biblioteka miejska, a 1865 — Uniwersytet, jedyny zresztą w im-perium rosyjskim bez wydziału teolo-gii, odessici od dawna już znani byli z wolnomyślicielstwa. Tutaj przez pe-wien czas mieszkali, i pisali uczeni tej miary, co Mendelejew, Pirogow, pisarze Puszkini, Mickiewicz, Lesia Ukrainka, Gorki, Kuprin, Bunin, Pa-ustowski, Iif i Pietrow, Babel.

Odessa chlubi się swymi rewolu-cyjnymi tradycjami działalnością wie-lu wybitnych rewolucjonistów. Tu właśnie powstała w 1875 r. pierwsza w Rosji polityczno-rewolucyjna orga-nizacja: „Poludnioworosyjski Związek Robotników”; ściśle związane jest z Odessą wystąpienie marynarzy z pancernika „Patiomkina”, który Lenin nazwał „niezłobym terytorium re-wolucji”. Bliższa historia Odessy jest już znana: lata porewolucyjne, obrona miasta, w czasie wojny podziemny

Odesski Dworzec Morski jest inny niż wszystkie. Wielki, oszklony budy-nek, z wieloma restauracjami, kawiarniami, zbudowany na molu — jest sterylnie czysty, pachnący świe-żością. Może dlatego, że wyrusza się stąd na czyste, świeże morze?

W TRAMWAJU WODNYM

Płynę w stronę Czarnomorki tram-wajem wodnym. Jest to niewielki stateczek, biały z odkrytym pokła-dem. Płyniemy blisko brzegu, mija-my odesskie plaże — Delfin, Longi-ron, Arkadia, Wielka Fontanna. Patrzę w wodę i widzę, że Morze Czarne jest zupełnie białe: płynąją w nim olbrzymie ławice wielkich me-duz. Jest słonecznie, morze, aż po kreskę horyzontu wypełnione jest bia-lymi i czerwonymi żaglami. A plaże już opustoszały z wielotysięcznych tłumów: ściga tu półtora miliona tu-rystów rocznie! — ale jeszcze widać kąpiących się, wytrwałych pływaków. Nic dziwnego, temperatura wody wy-nosi 17°, mógłby pozazdrościć lipcowy Bałtyk... W Arkadii na plaży jeszcze sporo ludzi. Morze jest spokojne, fala się lekko unosi — najodważniejsi z trudem, ostrożnie wchodzi w wodę. Już prawie nie ma młodzieży — po alejkach nadmorskiego parku, pod palmami przechadzają się statecznie emeryci. Ciepłe, jesienne słońce i je-sień życia.

ODESSKA OPERA

Zbudowano ten gmach w 1863 roku i wznoszono go trzy lata. Dziś teatry operowe buduje się po 20 lat. I bardzo często remontuje. A ten przetrwał w niezmiennym kształcie do naszych czasów. Z zewnątrz zadbawo nie tylko swym ogromem, ale jednocześnie lekkością i dostojnością, doskonałą proporcjonalnością. A wewnątrz — prawdziwe muzeum; jak do muzeum zresztą przechodzą tu wycieczki, prze-chodzą przez liczne foyer, podziwiają biel marmurów i tyneków, delikatne misterne złozenia sufitów. Sala wido-wiskowa jest taka, jaką można jeszcze zobaczyć na starych obrazach: biel, złoto i purpura, doskonały owal, łóże, wielopiętrowe balkony. Tu, z tej sceny, którą zaślania ciężka, wyszywana złotem kurtyna, śpiewali: Szalopin i Niezdanowa, za pulpitem dyrygenc-kiem stawali — Czajkowski i Rimski-Korsakow. Ale dość wspomnieć, bo oto światła gasną i zaczynają rozbrzmie-wać pierwsze takti uwertury do „Borysa Godunowa”...

artykułu, przyjaciel pocieszy, że i on się kłóci z sąsiadami, znajomy przyj-mie cię na dwa tygodnie do swego mieszkania, bo twoje zajęło kilkuoso-bowe grono krewniaków, którzy przy-jechali tu zażywać słońca, ciepłego morza. A nabrzmiały problem taksów-karzy? W Odessie ten problem nie istnieje, tu podwiezie cię pod wskaza-ny adres każdy zatrzymany samo-chód...

TRAKTAT O DWORCACH

Od dawna mówię sobie, że czas na-pisać traktat o dworcach. Dworzec jest przedświatłem podróży, podróż zaś — to jakaś zmiana w życiu ludzi, świadectwo ich dążeń do czegoś no-wego. Dworzec to miejsce powitań i rozstań — pewnie dlatego wśród wierszy poetów radzieckich tak wiele jest utworów o peronach, o pociągach,

MŁODE, 175-LETNIE

Trochę historii, niezbyt dawnej zresztą. Odessa jest bowiem całkiem młodym miastem, ma zaledwie prze-szło 175 lat. W latach istnienia Rusi Kijowskiej mieszkali tu plemiona wschodnio-sło-

WRÓCIĆ DO ODESSY

Odessa, perła Morza Czarnego. Za każdym razem chce się tam jeszcze wrócić. Nad pachnącą świeżością morze. W uliczki owinięte winną la-torością. W cień platanów. W życzliwy gwar. Wrócić do Odessy.

MAREK WAWRZKIEWICZ

PROZY NIEJEDNOZNACZNE

Schodząc wieczorem na dół do kiosku po papierosy natknąłem się na płócienne buty. Jeden stał wyżej o stopień od drugiego. Skierowane były w dół, zupełnie jakby ktoś niewidzialny wychodził na dwór. Buty były bezowego koloru, średniego rozmiaru, mocno schodzone, brudne i powycierane. Podeszwy miały prawdopodobnie gumowe — może nawet dziurawe sądząc po sfatygowanym wyglądzie ich wierzchołków.

Zaciekawiło mnie to, przyjrzałem im się bliżej. Dziwnie to wyglądało: same buty schodzące w dół.

— Kupiłem papierosy i wróciłem z powrotem. Ale tym razem buty stały obrocone nosami w górę, jakbyby wchodziły na piętro. Wziąłem to za kawał urządzony przez dzieci, bo co niemiara znajduje się ich w bloku.

W pracowni zabrałem się do porządków, bo ostatnio balagan w niej niezgorczy. Porządkowałem papiery, odkładałem porzucane książki na regał, biurko doprowadziłem do jakiegoś takiego ładu i zamiotłem podłogę.

Zajął mi to sporo czasu; bezstronnie muszę przyznać, że do porządków nie należę, ale od czasu do czasu rusza mnie sumienie i robię z grubszą generalnie porządku na wypadki gdyby ktoś mnie zechciał odwiedzić.

Na dzisiaj miałem dosyć. A ponieważ z snem mam niejakie trudności biorę do poduszki zawsze coś do czytania.

No i gdy tak leżę i czytam — a było dość późno — może pierwsza, może druga w nocy i dom był uśpio. kumy z maleńkich domków pod pracownią dawno już zakończyły swoje rozmowy i cisza była wokół idealna, usłyszałem ciche kroki zbliżające się do moich drzwi.

— Przerwałem czytanie myśląc: — „Kto u licha o tej porze może się tu kręcić?”

— Człapiące kroki zatrzymały się tuż przed progiem; — czekałem na pukanie lub dzwonek. Ale nic z tego. Za to po chwili ktoś zaczął kopać w drzwi, zrazu lekko, potem coraz głośniej.

Wstałem z tapczanu, podszedłem i pytam: „Kto tam?” — a lydki mi się trochę trzęsą. — Cisza. Ale kopanie się powtarza coraz wyraźniej i bardziej natarczywie.

Nie powiem, abym był w najlepszym nastroju.

Gdy kopanie zaczęło się wznagać otworłem drzwi z zasuwy ciekawo, kto też mógł mieć do mnie gwałtowny interes o tak późnej porze.

Ale żadnego człowieka nie ujrzałem — tylko buty, te same, które przedtem widziałem na schodach pierwszego piętra. Wyglądało to dość niesamowicie.

Z trudem opanowałem nerwy i przyglądałem się temu dziwnemu zjawisku. Buty stały spokojnie tuż pod progiem. Przemogłem się i otworzyłem drzwi szerzej. I buty wkroczyły same do przedpokoju, potem do pracowni. Wlazły do środka jak gdyby nigdy nie i zatrzymały się w bezruchu.

Obejrzałem je bardzo dokładnie; ich ubóstwo i sfatygowanie w świetle jasnej żarówki było jeszcze bardziej widoczne niż na schodach.

Minęło z pół godziny, a one ani myślały się ruszyć. Widocznie przyszły do mnie w odwiedziny.

Zgasilem górne światło i wszedłem do łóżka; przy tapczanie mam nocną lampkę, i zabrałem się z powrotem do czytania od czasu do czasu zerkając na nocnego gościa.

— Ale nie — buty tkwiły bez ruchu na swoim miejscu.

Zgasilem nocną lampkę. Zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem, ale chyba krótko. Obudzili mnie człapiące kroki, wędrujące z kąta w kąt.

Zapaliłem ponownie lampkę — buty tym razem stały przy biurku. Sen uleciał, niepokój powrócił.

WACŁAW KONDEK

BUTY

— Zapaliłem światło — człapienie rozpoczęło się na nowo.

Od regału poszły pod kosz do śmieci, potem do kuchenki, potem do łazienki, zawróciły w stronę okna.

— Zapaliłem światło. Stały teraz pod oknem. Ale wystarczyło, abym zgasił światło, aby zaczęły na nowo uporczywą wędrowkę.

Było już dobrze przed świtem, bo niebo za oknem zaczęło szarzeć gdy wreszcie zdecydowałem zrobić z tym porządek.

Zapaliłem jeszcze raz światło i przemaszując niemile uczucie wyrzuciłem je przez okno i pozbyłem się wreszcie nieproszonego gościa. Ale nie było już mowy o normalnym zasnieniu. Przemęczyłem się na tapczanie do świtu, zażyłem środek nasenny, aby trochę pospać.

Rano zbudziłem się pod wrażeniem tej nocnej historii.

Wyjrzałem przez okno. Butów ani śladu, możliwe, że ktoś przechodzący odrzucił je dalej.

— W dzień jakoś to majaki nocne mi przeszły, podejrzewałem siebie o zbyt bujną wyobraźnię.

— Dzień przeszedł mi normalnie, nawet zapomniałem o całej tej nocnej człapiance.

Następnego wieczoru już nikt nie kopał w moje drzwi i po przeczytaniu w łóżku dalszej części książki zgasilem światło sposobiąc się do snu.

— Ale w głębokiej ciszy rozległa się kanonada. Wiedziałem już, że buty wróciły. Znowu stały pod drzwiami

pracowni. Wpuściłem je już bez nerwów i nocne chodzenie zaczęło się na nowo. Tym razem jednak od razu wyrzuciłem je za okno.

— Ale buty nie zniechęcały się, w każdą noc przychodziły. Walily do drzwi, wpuszczałem je do środka, a one chodźły bez przerwy po ciemku. Czasem ocierały się o różne przedmioty, a ja w mroku obserwowałem nieustanną ich wędrowkę. Zwroty, przystawania i szurania po podłodze.

Powoli przywykłem do tych nocnych odwiedzin, zawsze w końcu wyrzuciałem je z czwartego piętra na zbity łeb.

W końcu te nocne kopania w drzwi mnie zezłościły, pewnego wieczoru otworzyłem przed snem drzwi na oścież mówiąc: „Chcecie przyjść, to proszę bardzo! Otwarte — nie musicie — halasować. Prosimy w gości, ale po cichu!”

— Ale od tego czasu, mimo, że wejście zostawiałem otworem buty więcej się nie pojawiły.

Na tym jednak się nie skończyło. Gdy prawie już zapomniałem o nocnych wizytach, pewnego razu wyszedłem „na miasto”.

I tu zaskoczył mnie widok niezwykły — po wszystkich ulicach Łodzi — po Piotrkowskiej, po Killińskiego, po Kościuszki, Gdańskiej, Wólczańskiej — od Placu Wolności do Placu Niepodległości wszędzie wędrowały, jeździły tramwajami i taksówkami, chodziły po chodniku, przystawały przed witrynami sklepowymi, poruszały się pośpiesznie lub powoli buty — tysiące butów. Stare, nowe, skórzane, wyglansowane i brudne, płócienne, zamszowe, szklane, czarne, żółte, brązowe, czerwone, białe, zielone, wysokie, niskie i wszelkiej maści. Chodziły wszędzie napelniając powietrze stukotem kroków i szuraniem po płytach chodników.

Buty opanowały miasto; zadeptały ludzi.



GDY Z GÓR ZSZEDŁEM...

Gdy z gór zszedłem wąską
Jak nitka ścieżką,
Stanąłem przed smukłą,
Nadobną dziewczyną.
— Dziewczyno, jam młody, życie rozpoczynam,
Nie pozwól młodemu bez miłości ginąć!
— Tyś młody, junaku, a ja niedojrzała
Jak owoce figi piersi moje male,
— Jam jest jak ta szabla z pochwy wydobyta,
Która nie chce dłużej być w pochwie ukryta,
— A jam jest poduszka zabobna w barwne wzory,
Na której nikt głowy nie kładł do tej pory,
Ja — perła
Dotychezas nitką nie przeszła!

Pragnienie

Bo dajby w ptaka się zamienić
I pomknąć z wiatrem przez błękitny.
Do ciebie. Objąć twój szyć,
Dzieweczko, fiołku nierozwity,
Uchylić koldrę i zcałować
Promień na wargach twych ukryty.
Przysięgam, nie ci nie ubędzie,
Więc miejże dobro me na względzie!

A wino lepsze gdy upija...

Wino dobre, gdy upija,
Pies, gdy szczeka przed wrotami,
Młody woj, gdy wciąż spokojny
W grom zamienia się czasami.
Kto się płaszczy przed niewiastą,
Nie wart grosza — honor plami.
Jak wół winien ciągnąć jarzmo,
Lew, gdy w boju miecz swój złamie.

KOCHAM te obłoki...

Kocham te obłoki płynące
Nad szczyt Borbalo nieustannie,
Który z radością bojaźliwą
Spieszą tu zewsząd na spotkanie.
A gdy już zbiorą się z oddali,
Na ziemię strumień lez się sączy...
Jakoby się ludzie nie starali,
Nie uda im się nas rozłączyć.

Z ANONIMOWEJ POEZJI GRUZIŃSKIEJ
Przełożył: IGOR SIKIRYCKI



JAN JANISZEWSKI

Bat

Bat: prosty, wygięty, krótki, długi, świszczący, strzelający, misternie pleciony. Zostawisz na wozie saletry, kobitę, worek z cukrem, obwarzanki, ale bat?

— Ostawcie bat w kącie — to serdeczne zaproszenie.
Jak strzeżli z bicia — bzdura.
A czy w ogóle umiesz strzelać?
A jeśli tak, to kiedy? Jedziesz i patrzysz: zielenią się pola. Machniesz wtedy biczym — ot tak, od niechcenia, sam nie wiesz kiedy; bo ci dobrze. Jesteś zły — strzelasz bez ładu. Patrzy ktoś — strzelasz dla efektu. Udajesz, że to sygnał dla lej-

cowego, bo nie chce mu się ciągnąć. Zrozumiał cię? Nie. Wyczel. Powtórzysz — zdyskwaliifikuje cię i zmieni chód — z klusa na galop. Wstyd ci? Szarpniesz lejca, a wtedy cała czwórka śmieje się z ciebie. I na znak solidarności zagalopuje, dla odmianny, dyszlowy. Odłóż więc bat, a trzymaj lejce w lekkim napięciu. Jak? Spytaj skrzyпка — kiedy naciśka słabiej lub mocniej struny. Najlepiej poradź się Cygana — nie uczyl się gry w konserwatorium.

Wywiad

— Koń, szkap, rumak, chabeta, kuc, wierzehowiec, klusak, lejcowy. A ja jestem dyszlowy.
Kiedy mi to wszystko wyręczył, spojrzł spode łba i zanurzył pysk w źłobie. Po chwili znow się odezwał:

— Wystarczy chyba na jeden wywiad? Zdjęcie pan zrobi, kiedy zjem. Ale czy to można nazwać jedzeniem? Niech pan spojrzysz: sieczka ze słomy remanentowej, owies wycofany z platkarni, a zmodernizowany żłób siega suti. Słyszałem, że w przyszłym roku mamy zaplanowany szejwzrost żyrafy. Cale szczęście, że w cyrku trenowałem słojkę na dwóch nogach.
Wyszlśmy na trawie.
— Niech pan poskubie — zaproponował — wprawdzie soczysta, ale przepotasowana.
— Rzeczywiście — odpowiedziałem, z trudem rozgrzając grudkę kainitu. Próbowałem więc go pocieszyć:
— Nie tylko trawą się żyje...
Truizm zbyt klusem. Zatrzymując się, zagadnął:
— A może zdjęcie w galopie?
— Chętnie — odpartem — wolałbym jednak wspólnie z pańskimi partnerami — dyszlowym i lejcowym.
— Jestem sam, kompresja etatów, pracuję za czterech. Zawszydłem się. To on za czterech? Odgadł moje myślenie:
— Nie żenujemy się. Pan za to może na czterech.

Odbiegłem galopem. Po czym dostojnym ściepem wstąpiłem do baru mlecznego. Zjadłem płatki owsiane. Wyszedłem na rękach.



Janina Szafranska — „Dachy Kazimierza”

Od dawną wiedziałem, że przyjdzie kiedyś taka chwila, że wreszcie go zobaczę. Chwili tej oczekiwałem z niecierpliwością, ale i z obawą, bo wiedziałem, że później już nie będę mógł snuć nie kończących się domysłów na jego temat, nie będę już mógł wyobrażać sobie jego wyglądu, jego ruchów ani jego uśmiechu. Życie moje stanęło się uoższe, pozabawione jego stałej, narzucającej się wyobraźni, obecności. Kiedy go już zobaczę, przestanie może dla mnie istnieć, przestanie istnieć w moich myślach.

Bo w jego materialne, rzeczywiste istnienie nie wtapiałem już wcale. Zbyt wielu znajomych robiło mi wymówki, że nie poznaje ich na ulicy, zbyt wiele kobiet obraziło się na mnie śmiertelnie za to, że przestałem się klaniać, choć jeszcze niedawno wznawiałem im swą płomienną i dozgonną miłość. Ostatnio przypadki moich rzekomych nietaktów towarzyskich nasiliły się znacznie właśnie w tym okresie, kiedy nie wychodziłem prawie z domu i jak ognia unikałem pokazywania się w dzień na ulicach naszego miasta.

A to wszystko dlatego, że zdarzyło mi się nieopatrznie przyrzeć pewnej zabiegającej o to osobie małżeństwo, nie mając — oczywiście — żadnego zamiaru tego przyrzeczenia nigdy spełnić. Ona jednak — co zda-

rza się nazbyt często przedstawicielkom płci przeciwnej, uwiaryła w to i to do tego stopnia, że zaczęła mnie energicznie poszukiwać, wypytując o mnie wszystkich i pojawiając się w miejscach, w których dawniej można mnie było spotkać.

Przesiadywałem więc w mieszkaniu, nie zapalając wieczorem światła i nie otwierając nikomu drzwi. Podczas tej przymusowej samotności zdarzało mi się coraz częściej myśleć o nim, a nawet zwierzać mu swoje żale i swoje niepokoje o to, co się ze mną stanie, jeśli... Odganiałem od siebie tę przerażającą myśl i odpukiwałem w niemowlane drzewo.

Z rzadka wieczorami wychodziłem do miasta i — patrząc uważnie przed siebie i rozglądając się na boki — przemierzałem boczne ulice w poszukiwaniu coraz to innej restauracji, żeby posilić się trochę i podreperować nadwałone siły.
I właśnie pewnego smutnego, deszczowego wieczoru, kiedy siedziałem

RYSZARD DOROBA

SOBOWTÓR

w odległym kącie takiej peryferyjnej garkuchni, wypełnionej papierosowym dymem i pljackim bełkołem, zekłamałem się z nim oko w oko.

Był w drugim końcu sali, wśród wesolego towarzystwa, popijając tego. „Ty masz dobre, nie musisz się ukrywać” — pomyślałem z zazdrością. Przyjrzałem mu się dobrze. Był rzeczywiście jakby drugim moim wcieleniem. Miał taką samą, podłużną twarz, z mniejszą jednak ilością zmarszczek, takie same długie, proste włosy, chyba jednak bardziej geste i mniej zaatakowane siwizną. „Jesteś młodszy, dranlu” — wymamrotałem nienawistnie pod nosem. Nawet marynarkę miał taką samą, jak moja, nabyta z przeceny. „I tobie się nie przelewa” — stwierdziłem z satysfakcją.

Im dłużej mu się przyglądałem, tym moja niechęć do niego stawała się silniejsza, bardziej dojmująca. On jednak nic sobie z tego nie robił, wy-

chyłał kieliszek za kieliszkiem, wybuchając co chwila beztrzymnym śmiechem (ja już dawno się tak nie śmiałem). Nawet mnie nie widział, bo nie spojrzał ani razu w moją stronę, zajęty pić i rozmową.

Czułem, że moja niechęć do niego z minuty na minutę przemienia się w otwartą, niepoahamowaną wrogość. Bojąc się o samego siebie zapłaciłem prędko i już podnosiłem się z krzesła, kiedy jakaś nieznaną siłą kazala mi spojrzeć w stronę drzwi. Struchlałem. Stała w nich moja prześladowczyni, przebiegając szybko wzrokiem po twarzach gości. Opadłem z powrotem na krzesło i ukryłem twarz w dłoniach.

I wtedy stało się coś, co mnie uratowało. Moja niedoszła małżonka ruszyła w drugi koniec sali i położyła rękę na ramieniu mojego „alter ego”. Poderwałem się z miejsca i wybiegłem na zewnątrz, rzucając mu po drodze, kiedy podnosił się właśnie ze zdumioną miną, dziękczynne spojrzenie. Już na bezpiecznej ulicy poczułem nie opanowaną radość, że on — mój drogi, ukochany sobowtór — przecież jednak istnieje.

O godzinie 9 rano w londyńskim City rozpoczyna się gorączkowa krzątanina wokół mnóstwa transakcji handlowych, które są podstawą i siłą „angielskiej kwadratowej mili pieniędzy”.

Od czasów średniowiecza, City jest mocno zwartym, tradycyjnym rejonem Londynu, w którym mieszcza się najważniejsze instytucje finansowe. City jest „mekką” maklerów, bankierów i handlowców. W czasach rozkwitu imperium, City było finansowym centrum nie tylko Anglii, lecz również całego świata. Nawet dziś dochody jego 300 banków, kompanii ubezpieczeniowych, maklerów giełdowych, handlarzy złotem i wierzycieli

czy w istniejącej od 600 lat restauracji „George and Walcher”, stwarzają możliwości formowania, szlifowania i polerowania do polysku owego szczególnego tworzywa, które określa się nazwą „delikatnego mechanizmu” City. Dewizą City jest: „moje słowo jest moim zobowiązaniem”. W żadnym innym finansowym centrum świata nie zawiera się tylu milionowych umów handlowych przy kieliszku wina, co tutaj.

handlowych City dysponuje łącznym kapitałem w wysokości 7,5 miliarda dolarów. Do tej elity należą „Braun Bank”, mający dobre kontakty ze Srodkowym Wschodem i szekami, władającymi pokładami ropy naftowej. Jednakże, mimo swych dawnych i obecnych sukcesów, City jest niespokojne o swoją przyszłość. Bardzo ją skomplikowało przystąpienie Anglii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Jeszcze do niedawna, bo kilka lat temu, City rozkwitało przede wszystkim jako centrum handlu „eurodolarami”. Doczyje, podjęte ostatnio przez główne banki europejskie, zarówno w krajach członkowskich EWG, jak i nie należących do Wspólnoty, zmierzające do likwidacji niepożądanego speculacji „eurodolarami”, uważa się w Londynie nie tylko za bezpośrednie zagrożenie dochodom City, ale także jako zaprzeczenie całej koncepcji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

„Prymat Londynu, jako międzynarodowego ośrodka bankowego — powiedział, opuszczając stanowisko prezesa Banku Anglii lord Lesly O'Brien — opierał się na niezależności od uciążliwego ustawodawstwa bankowego. Byłoby tragedią, gdyby taka sytuacja musiała ulec radykalnej zmianie, tylko dlatego, żeby zadowolić biurokratyczną skrupulatność...”

Wydawany w City wpływowy miesięcznik „Bankier” wyraził się jeszcze bardziej dosadnie. „Propozycja EWG — czytamy w piśmie — jest całkowicie wystarczająca, żeby każdy finansista z City odczuł drżenie w nogach...”

J. CZECH

Bank, nierzycm czujny woźnica, trzyma w swym ręku liczne male banki, nie dając im możliwości zejścia z wyznaczonego kursu. Robi to nie przy pomocy gróźb, czy wręczania się w ich sprawy, lecz za pośrednictwem systematycznych rad lub znaczącego warczenia. Elita City są banki handlowe, wielkie instytucje finansowe, zajmujące się inwestowaniem kapitałów. Wybierają sobie klientów, podobnie jak wybiera się członków uprzywilejowanych klubów. Piętnaście wiodących banków

MEKKA FINANSOWYCH ŻONGLERÓW

wynoszą około 10 miliardów dolarów rocznie. Właśnie rozwój banków City ich niespożyta inicjatywa w dziedzinie i ogromna żywotność na giełdzie były głównym motorem niedawnego ożywienia ekonomicznego w Anglii. Ożywienie to oraz wiodąca rola City w sferze operacji na rynku „eurodolarowym” (amerykańskie dolary nie w banknotach, lecz w postaci sum na kontach bankowych w bankach europejskich, używanych jako środki płatnicze w operacjach handlowych) pomogły Anglii w uтарыciu drogi do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

3600 maklerów, pracujących dziś na londyńskiej giełdzie w nierzycm nie przypomina maklerstwa starej daty. Tylko zasady maklerstwa nie uległy zmianie: szybkość i dokładność oceny sytuacji wciąż jeszcze mają decydujące znaczenie. Żeby ocenić sytuację i powziąć trafną decyzję, makler giełdowy, podobnie jak i przedtem, musi mieć doświadczenie i talent. Jeśli chodzi o szybkość, to dziś zapewnia ją nowoczesna technika elektroniczna, a w tym również przekaznikowy system informacji i wewnętrzna sieć telewizyjna (20 kanałów), służąca do zbierania informacji o aktualnych cenach.

Na dawnej giełdzie można było uchem łowić rozgrywające się wydarzenia, oceniać je na podstawie natężenia krzyku i rozpalonych namiętności. Teraz wszystko odbywa się na wielkich milczących ekranach i ktoś, siedząc w zacisznym gabinecie, naciska guzik, żeby wydać „odpowiednie polecenie”.

Mimo tego ożywienia, City ma wiele problemów. Niedawno, podjęte przez centralne zachodnioeuropejskie banki, których celem było powstrzymanie potoku „eurodolarów” i wypuszczenie „euroobligacji”, żeby zahamować inflację i spekulacyjne operacje dolarami wywołały wśród londyńskich żonglerów finansowych refleksje, że „ciężyc się nie ma z czego”. Ponadto EWG zamierza „harmonizować” ustawodawstwo krajów — członków EWG w zakresie działalności bankowej oraz ubezpieczeniowej, co jest absolutnie nie do przyjęcia dla City, które odrzuca wszelką kontrolę i wgląd do operacji finansowych. W konsekwencji, inicjatywa City, która zachęca Anglię do przystąpienia do EWG okazała się czymś w rodzaju obosiecznego miecza. Nie wszystkie jednak problemy, stojące dziś przed City przychodzą zza kanału La Manche. Dla ludzi odgrywających tutaj główną rolę, jakakolwiek propozycja dotycząca gruntownych zmian jest równoznaczna herzej, ponieważ siła City zawsze tkwiła w jej autonomii i ścisłej wewnętrznej spójności.

Jeszcze jedna kawiarnia w City stała się kolebką firmy, której nazwa jest doskonale znana w ubezpieczeniowym biznesie. W lokalu Edwarda Lloyd'a na Tower-Street lubili sobie posiedzieć zarówno właściciele statków handlowych, jak i ludzie z pieniędzmi, gotowi zainwestować swe kapitały w ubezpieczenie statków. Lloyd zadowalał się tylko podawaniem kawy, tym i tamnym. Jednakże po jego śmierci w 1714 roku, klienci zapożyczyli sobie jego nazwisko i założyli znaną obecnie w całym świecie kompanię ubezpieczeniową. Dziś jest to zjednoczenie, liczące 7141 członków, powiązane z 280 światowymi kompaniami. W City firma ta jest głównym dostawcą „niewidocznych pieniędzy” (dochodów płynących z zagranicznych inwestycji i pośrednictwa). Tylko w 1971 roku wpłynęło do Anglii 500 milionów dolarów dochodu z tytułu jej zagranicznych operacji.

NAJPIĘKNIEJSZE SALTO ROKU

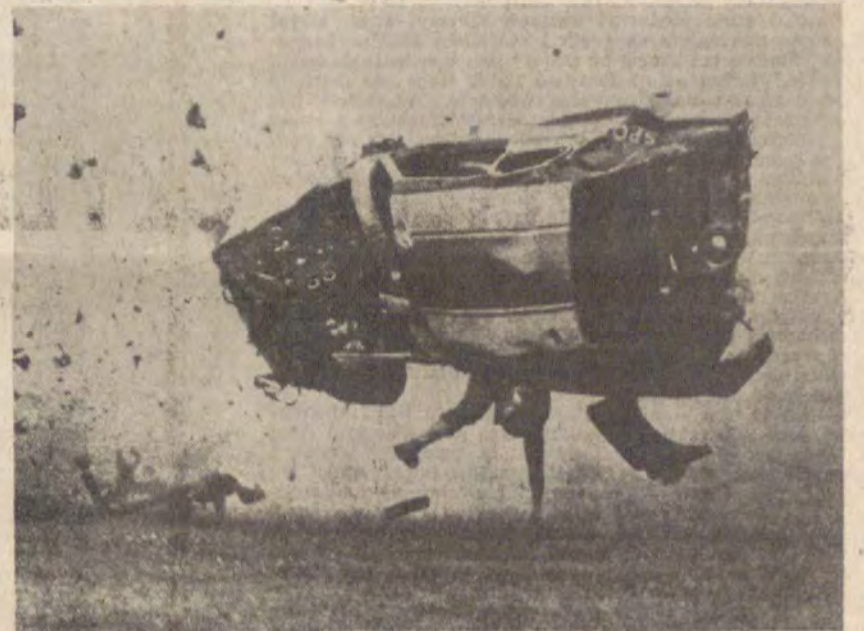


Foto: „Paris Match”

Kierowca i samochód przyklejony do siebie. To ich trzecie wspólne salto przy szybkości 230 km na godzinę! David Matthews wyszedł z tego prawie bez szwanku, bo w momencie, gdy jego Ford-Capri wyleciał z toru, błyskawicznie uruchomił gaśnicę. Skończyło się na złamanej kostce u nogi i wycieńczonym ramieniu, Matthews, jeden z asów samochodowych, przegrał wielki wyścig w Silverstone, ale wygrał życie.

City można przejść w 20 minut, ma milę kwadratową powierzchni. Ale bliska więź między finansowymi wadzirejami City, ich spotkania w klubach na prawach komilitonów, w pubach, na ulicach i podczas posiłków przy stolikach w takich szanowanych lokalach, jak „Jamaika Wein Haus”,

Sztab „Lloyda” mieści się w t.zw. „sali operacyjnej” o długości ponad

POD ZNAKIEM WIZYT I WAŻNYCH ROZMÓW

Miniony tydzień przyniósł ważne wizyty. Miejscem jednej z nich była WARSZAWA, w której gościła partyjno-rządowa delegacja z Bułgarii pod przewodnictwem I sekretarza KC BPK, przewodniczącego Rady Państwa — Teodora Żiwkova. Wizyta była ważnym wydarzeniem w rozwoju współpracy polsko-bułgarskiej nie tylko dlatego, że przyczyniła się do umocnienia naszych wzajemnych stosunków, lecz również dlatego, że dała okazję do wspólnej oceny aktualnej sytuacji międzynarodowej oraz w światowym ruchu komunistycznym i robotniczym.

W części komunikatu, odnoszącej się do problematyki międzynarodowej wiele miejsca zajęła sytuacja na obszarach pozaeuropejskich. Polska i Bułgaria stwierdzają, że będą nadal udzielać braterskiego poparcia Demokratycznej Republice Wietnamu w odbudowie i dalszym socjalistycznym rozwoju. Wyrażają pełne poparcie polityce Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej zmierzającej do pokojowego zjednoczenia kraju bez zewnętrznej ingerencji.

Ogłoszony na zakończenie wizyty komunikat stwierdza, że w wyniku aktywnej polityki zagranicznej Związku Radzieckiego oraz innych państw wspólnoty socjalistycznej — nastąpiło dalsze umocnienie socjalizmu w świecie oraz międzynarodowego bezpieczeństwa i współpracy. Proces odprężenia rozwinął się przede wszystkim w Europie. Kolejnym etapem na tej drodze będzie podpisanie w najbliższym czasie układu między CSRS a NRF, a także nawiązanie analogicznych stosunków dyplomatycznych NRF z Bułgarią i Węgrami.

Komunikat przynosi słowa potępienia faszystowskiego i antykonstytucyjnego reżimu w Chile oraz wyraża solidarność z postępowymi siłami tego kraju. Żąda uwolnienia bezprawnie aresztowanego sekretarza generalnego KP Chile — Luisa Corvalana.

Nawiązując do radzieckich inicjatyw w dziedzinie rozbrojenia i podkreślając znaczenie wiedeńskich rozmów w sprawie ograniczenia sił zbrojnych

Polska i Bułgaria wypowiadają się za szybką likwidacją konfliktu blisko-wschodniego, którego źródła tkwią w zabobnych poczynaniach Izraela. Strona bułgarska z uznaniem wita decyzję PRL o wysłaniu jednostki Wojska Polskiego do doraźnych sił zbrojnych ONZ na Bliskim Wschodzie. Krok ten — czytamy w komunikacie — „odpowiada uzgodnionej linii polityki wspólnoty socjalistycznej, służy

interesem pokoju i odprężenia międzynarodowego”.

W komunikacie znalazły się słowa uznania dla wyników IV konferencji krajów niez zaangażowanych w Algierii, której antyimperialistyczny i antykolonialny charakter umacnia siłę postępu w świecie.

współpracy, druga daje możliwość rozwinięcia wzajemnych stosunków polsko-włoskich, co ma istotne znaczenie dla pogłębienia procesów odprężenia w Europie. Rozmowy ministra Spraw Zagranicznych, w Watykanie, a przede wszystkim audyencja u papieża, są krokiem w kierunku normalizacji naszych stosunków w oparciu o zasady pokojowego współistnienia.

Jak już wspomnieliśmy, tematem rozmów był również międzynarodowy ruch komunistyczny. W tej części komunikatu obie partie — PZPR oraz BPK podkreślają doniosłe znaczenie narady krymskiej przywódców partii komunistycznych i robotniczych wspólnoty socjalistycznej oraz wystąpienia Leonida Breżniewa na Światowym Kongresie Sił Pokoju. Przemówienie to jest twórczym rozwinięciem programu pokoju XXIV Zjazdu KPZR.

W chwili, kiedy piszę ten komentarz, trwa wizyta i sekretarza KC PZPR — Edwarda Gierka w BELGII. Jest to stosowny czas, aby poświęcić nieco miejsca gospodarce i współpracy Polski i Belgii.

PZPR i BPK będą umacniać jedność międzynarodowego ruchu robotniczego i wspólnoty socjalistycznej oraz wszystkich sił antyimperialistycznych. Przeciwno ich umacnianiu skierowana jest rozłamowa polityka maoistowskiego kierownictwa KP Chin.

Przed z górą ośmiu laty — na początku 1965 roku podpisana została pierwsza umowa o współpracy ekonomicznej, przemysłowej i technicznej między obu krajami. Wówczas miała charakter przykładowy w rozwijaniu współpracy między krajami o różnych ustrojach. Belgia, choć w jej stolicy mieszczą się siedziby EWG i Paktu Atlantyckiego, nie miała schematycznych i doktrynerskich poglądów na wzajemne kontakty. To sprawiło, że nasze obroty szybko rosły — w latach 1968—72 na przykład eksport polski na wspólny rynek belgijsko-luksemburski (połączony unią gospodarczą) podwoił się. Ale możliwości rozwoju współpracy gospodarczej są jeszcze duże. Zainteresowanie nimi jest dwukrotne, dlatego też oba kraje postanowiły zawrzeć 10-letnią umowę o współpracy gospodarczej, przemysłowej i naukowo-technicznej, która będzie wytyczała nasze kontakty.

Tyle o głównych myślach, zawartych w komunikacie, w dziedzinie międzynarodowej. Dodajmy, że polsko-bułgarskie rozmowy wzbudziły duże zainteresowanie prasy wspólnoty socjalistycznej.

Ostatnie dni przyniosły również wizyty członków Biura Politycznego KC PZPR: Edwarda Babucha w ALGERII oraz Stefana Olszowskiego we WŁOSZECH i WATYKANIE. Pierwsza z nich wprowadza stosunki polsko-algierskie w nową fazę, obie strony postanowiły bowiem na gruncie wzajemnego poparcia politycznego stworzyć warunki do wszechstronnej

W. ŚLAWSKI

REPRESJE w Chile przyjęły, jeśli tak można powiedzieć, charakter „indywidualny”. Poluje się nie tylko na stronników Koalicji Jedności Narodowej, ale w ogóle na każdego Chilijczyka, który „nie wzbudza zaufania”. Conocne obawy wzbudzają groźne na peryeriach Santiago, w dzielnicach robotniczych. „Sprawdzanie” dokumentów kończy się często seria z karabinu maszynowego. W Santiago mówi się o trupach pomordowanych, które dziesiątkami ładuje się na śmigłowce i zrzuca do morza podczas godzinny policyjnej. („Mondo” — Rzym)

„W OKRESIE najbliższych 8 miesięcy w Chile będzie utrzymywany stan wyjątkowy” — powiedział gen. Pinochet, głowa junty chilijskiej, który „ustruje” teraz „południowe prowincje kraju”. „Po zniesieniu stanu wyjątkowego w Chile utrzymać się „stan wojny wewnętrznej” i dlatego cała władza pozostanie nadal w rękach wojska i nadal będą działać sądy wojskowe. Mówi o ogniskach oporu przeciwko junce Pinochet przyznał, że w kraju działają oddziały partyzantów: „Wiemy, że mają one broń i przygotowują się do wystąpienia...” (Prensa Latina — Havana).

CHILIJSKIE władze wojskowe przyznają, iż w kilku rejonach kraju partyzanci rozwijają aktywną działalność. W Traiguen wojsko wykryło tajną radiostację. Przypuszcza się, iż służyła ona do koordynacji działań partyzanckich. W rejonie Arua Fria wojsko i zmiilitaryzowana policja dokonały rewizji w niektórych domach, znajdując duże ilości bomb oraz kilka tysięcy detonatorów. W Santiago ukazują się tajny biuletyn informacyjny, redagowany w podziemi i przekazywany z ręk do rąk. Ukazał się już 7-my numer biuletynu, w którym mówi się, m.in., o walkach partyzantów z żołnierzami junty, o zestrzeleniu 6 śmigłowców oraz 8 samolotów, w tym 4 odrzutowców. W biuletynie podaje się także, że „pododdziały partyzantów prowadzą systematyczne operacje bojowe przeciwko siłom bezpieczeństwa”. („Daily Telegraph” — Londyn).

14,1 PROC. mieszkańców USA stanowią Amerykanie angielskiego, szkockiego i walijskiego pochodzenia — podaje sprawozdanie amerykańskiego Biura Spisu Ludności. Badania przeprowadzone w 1971 roku wykazały, że do grupy tej zalicza siebie 29,5 miliona Amerykanów. Na drugim miejscu znajdują się Amerykanie pochodzenia niemieckiego — 25,5 mln, na trzecim pochodzący irlandzkiego — 16,4 mln mieszkańców USA. W czasie badań chadzilo o odpowiedź tylko na jedno pytanie: „Jakie jest pańskie pochodzenie lub jakie jest pochodzenie pańskich przodków?” 102,2 mln osób, spośród ogólnej liczby 204,8 mln, znalazło się w składzie 8 grup etnicznych. Oprócz Brytyjczyków, Niemców i Irlandczyków, w USA mieszka 9,2 mln obywateli należących do hiszpańskiej grupy językowej, 8,8 mln — do włoskiej grupy językowej, 5,4 mln — do francuskiej, 5,1 mln — do polskiej oraz 2,2 mln — do rosyjskiej grupy etnicznej. („Associated Press” — USA).

WYNIKI studiów naukowych, prowadzonych w okresie 20 lat wśród 30 tysięcy Beduinów wskazują, że monogamia jest jednym z czynników, powodujących skłonność do zawału serca. W toku długocześnie badań naukowych stwierdzono, iż wśród Beduinów, mających więcej niż jedną żonę, lub więcej niż jedną prawowitą konkubinę, występowały 2 przypadki zawału na 30 tysięcy mężczyzn. Natomiast wśród Beduinów, posiadających monogamię, przypadków tego schorzenia serca było 17-krotnie więcej. Naukowcy wyciągną stąd wniosek, iż ograniczenie aktywności seksualnej stwarza podatne warunki dla zawałów serca. („Corriere della Sera” — Włochy).

PRAGNĄC uniknąć incydentów dyplomatycznych z rządem ChRL, francuski minister spraw zagranicznych nie wyraził zgody na paryski etap europejskiej podróży Dalaj-Lamy. Duchowny przywódca buddystów tybetańskich który w 1959 roku uciekł z Tybetu do Indii, opuścił w ub. tygodniu Szwajcarię, udając się wprost do Londynu, a następnie do Dublina. Dalaj-Lama nie otrzymał wizy tranzytowej pod pretekstem, że rząd francuski nie może mu zapewnić bezpieczeństwa. We Włoszech, gdzie przebywał on swego czasu, nie był — także ze względów dyplomatycznych — gościem rządu włoskiego, lecz Watykanu. Irlandia będzie pierwszym krajem, który podejmie go w charakterze głowy państwa.



CO SIĘ ZA TYM KRYJE?

Tuż po wojnie kandydował na prezydenta Stanów Zjednoczonych pewien polityk, którego nazwiska nikt dziś nie pamięta, bowiem szybko zniknął z politycznej areny. Był to — jak większość amerykańskich polityków — milioner, ale jego program nosił cechy umiarkowanej postępowej i liberalnej. Występował m. in. przeciwko nadmiernym dochodom przemysłowej arystokracji, zdaje się, że postulował jakąś drastyczną progresję podatkową. W sumie był to dość postępowy facet.

Wybory były jego sromotną klęską. Amerykańskie społeczeństwo, które, jak wiadomo, nie składa się z milionerów odmówiło mu swego poparcia, choć polityk występował przeciw w imię interesu owego szarego obywatela.

Tę wyborczą klęskę skomentował wówczas przekonywają-

co wybitny polski pisarz, Leon Kruczkowski. Powiedział mniej więcej tak: „amerykański wyborca rozumował „handlowo”. Oto jest milioner, który powinien być zainteresowany we wzroście własnych dochodów. I oto ten milioner postuluje progresję podatkową, która uderzy go po kieszeni... Jaki więc może mieć on w tym interes? Pozornie żaden, ale przecież nie może być tak, żeby milioner nie miał w tym żadnego interesu — ergo, kryje się za tym program politycznym jakiś grubawy szwindel.

Spółczesność nie mogła uwierzyć w bezinteresowność owego programu. Szary obywatel rozumujący kategoriami milionera nie mógł zaufać politykowi, który kręcił bat na siebie.

Przypomina mi się ta historia, ilekroć ludzie podejmują jakieś bezinteresowne działania.

Zawsze bowiem znajdują się tacy, którzy wykonują męczącą pracę myślącą na temat: „jaki on ma w tym interes?”

Wielokrotnie pisałem na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat o potrzebie wydania w Łodzi antologii poetyckiej, poświęconej temu miastu. Nieodmiennie spotykałem się z pytaniem: „czy pan chciałby taką antologię opracować?” Odpowiadałem — zgodnie z prawdą — że ani mi to w głowie, chcę tylko, żeby taka książka była, a niech ją opracuje nawet sam Lucyper.

Niedawno, jako że lubię, aby się coś działo, zorganizowałem z przyjacielem muzykiem pewną imprezę. Pierwsze reakcje tzw. środowiska były — oczywiście typowe. „Jaki wy macie w tym interes?” — pytali ludzie. Ponieważ nie jest tajemnicą, że imprezę robiliśmy społecznie, a więc forsą w grę nie

wchodzi — do dziś wielu ludzi patrzy na całe przedsięwzięcie podejrzliwie.

Podobnie jak z tym amerykańskim politykiem. Jeśli nie forsą — to znaczy, że kryje się za tym jakiś grubszy interes. Jaki? Nie zdradzimy. Jest na ten temat klasyczna „handlowa” anegdota. P zychodzi syn do ojca i mówi: „zakochałem się”. Ojciec na to: „no, dobrze, ale co ty z tego będziesz miał?” „No, jak to, co — chcę się ożenić” — powiada syn. „No, a jak się już ożenisz, to co ty z tego będziesz miał?”

Pytanie ojca jest, być może, bardzo realistyczne, ale nie uwzględnia jednej drobnej sprawy. Ludzie bowiem podejmują działania w imię jakichś pasji, sentymentów, miłości — wreszcie samej czystej satysfakcji. Nie zawsze pytanie: „co ja z tego będę miał?” ożywia ludzką działalność. Bardzo trudno w to uwierzyć, ale — daję słowo — tak jest!

WIDOK



FRYZURY

ANDRZEJ GRUN



TELEFON

Emeryci mają dużo czasu i dużo pomysłów. Gazety czytają od deski do deski, myślą nad tym, co czytają i rodzą się im pomysły, które mają ulepszyć świat. Nie jestem przeciw emerytom, zwanych czasem dla urozmaicenia rencistami. Każdy z nas nosi „w plecaku buławę rencisty”. Takie już są koleje życia, ale mam czasem zastrzeżenia w stosunku do pomysłów, jakimi renciści chcą zbawiać świat.

Spotkałem niedawno znajomego starszy pan, zapałającym zwyczajem za guzik i musiałem stać na jejonym chłodzie tak długo, aż starszy pan wygłosił całą swoją kwestię. Martwi go niedobrotstwo ludzi. Kogo nie martwi? Ludzie niszczą naszą wspólność. Wystarczy spacerować po parkach, spróbować zatelefonować z budki telefonicznej. Uważnie popatrzeć na ulicę, aby zobaczyć, że są brudne, zaniedbane. I to nie prawda, że im dalej od śródmieścia, tym więcej wandalizmu. Śródmieście od niego wcale nie jest wolne.

— Nawoływać trzeba, budzić poczucie porządku, uświadamiać, piętnować tych, których przyspane się na wandalizmie, na niechlujstwie, chwalić czystych i o czystości i porządek dbających.

Trzeba, ale rzecz przeciw na tym się nie kończy. Trzeba też głębiej sięgać do przyczyn, aby uświadomić sobie mechanizm pewnych zjawisk. Człowiek na ogół nie niszczy rzeczy jemu potrzebnych, tych, którymi musi się stać posługiwania, których funkcjonowanie ułatwia mu życie, czyni je bezpieczniejszym.

U nas telefon — mimo ciągłego wzrostu ilości abonentów — w 1930 roku było ich 194 tys., a w ubiegłym roku — 1,200 tys. — nadal uważany jest za przedmiot zbytku i bardziej służy do złatwiania kontaktów towarzyskich niż służbowych. Ciągle jeszcze częściej zwołujemy konferencje, aby zakomunikować kilka ważnych, ale drobnych spraw, zamiast posłużyć się telefonem. Co prawda, w Łodzi niekiedy szybkiej można już dojechać popieszym autobusem z jednego krańca miasta na drugi, niż otrzymać połączenie telefoniczne. Ale to inna sprawa.

Telefon nie jest u nas rzeczą niezbędna, bo istotnie nie ułatwia życia. Posługując się telefonem praktycznie nie można złatwić. Wiele można dowiedzieć się. Tak, do otrzymywania informacji telefon stał się już potrzebny, chociaż też jeszcze nie wszyscy nauczyli się nim posługiwać. Można również telefonicznie bilety zamówić w teatrze, ale nie w kinie. Spróbujcie jednak pomóc sobie telefonem przy złatwianiu jakiejś usługi. Nie na wiele to się przyda.

Na Węgrzech wystarczy zadzwonić do informacji o usługach i podać imię, nazwisko, adres oraz w przybliżeniu określić jakość awarii telewizora. Resztę złatwi już sama informacja, znajdzie wolnego specjalistę, umówi na określony czas, powiadomi was o tym. Ale też wystarczy porównać ilość aparatów telefonicznych, będących w użytku w 1970 roku na Węgrzech i w Polsce. Przed dwoma laty na tysiąc mieszkańców Węgier przypadło 80 aparatów telefonicznych, a na tysiąc Polaków — 57. I jeżeli już jesteśmy przy danych, to w tym samym czasie na tysiąc mieszkańców CSRS było czynnych aparatów telefonicznych — 138, w NRD — 123, Szwecji — 537, Danii — 339, Holandii — 260. Mniej od Polski miały Jugostawia i Rumunia.

Z tych danych też nie jeszcze nie wynika i wynika bardzo dużo jednoznacznie. Sam fakt posiadania dużej ilości telefonów o niezłym jeszcze nie świadczy, jeśli nie są one elementem technicznego wyposażenia społeczeństwa, jeśli w jego świadomości nie jest to czynnik trwały. Proszę zwrócić uwagę, jak wielką rolę odgrywa telefon w niektórych filmach zachodnich, tak wielką, że bez telefonu filmy te nie miałyby żadnego sensu, ich akcja nie byłaby do pomysłowa. U nas bywają filmy współczesne, które znakomicie obchodzą się bez telefonu. I słusznie, bo my w życiu też znakomicie obchodzimy się bez telefonu. Szczególnie w Łodzi.

I tu znów muszę odwołać się do danych statystycznych. Przeproszam, że szpikuję tekst cyframi, ale są one — zapewniłem — interesujące. Oto w ubiegłym roku na tysiąc mieszkańców Warszawy, abonentami telefonów było 148, a w Łodzi — 60,8. Bil nas Wrocław (78), Gdańskie (60,1), Szczecińskie (68,3). Dorównywało nam Koszalińskie (60,3) i do naszego poziomu zbliżało się m. in. Olsztyńskie (59,5). Na osłode mogą tylko dodać, że w przyszłej pięcioletniej liczba numerów telefonicznych w Łodzi podwoi się i osiągnie około 100 tys. Ale w tym czasie kraj też nie będzie stał w miejscu, więc nie wiem, jak po kilku latach będziemy wyglądali w porównaniu z innymi ośrodkami Polski.

I tak wchodzimy w obręb pozornie błędnego koła. Począta, rozumując niedostatek telefonów w Łodzi, stara się zwiększyć ich ilość, zakładając automaty, budki telefoniczne i czyni starania o udostępnienie telefonów w budkach „Ruchu”. Apelujemy do ludzi — mówil emeryt — aby szanowali to, co jest do wspólnego użytku. Apelujemy, ale w moim przekonaniu same apele nie wystarczą. Trzeba karać przyłapanych wandalów, ale też i troszczyć się o to, aby telefon słał się przedmiotem niezbędnym. Telefon powinien nam pomagać w codziennym życiu, po to jest. Jak to zrobić? Gotowych recept nie ma. W każdym razie, jeśli telefon nie będzie się słał coraz bardziej aparatem ufatwiającym nam życie, to mało kto będzie go szanował i dbał o jego sprawność.

RODAK



SPORT SUFRAŻYSTKI w majteczkach

„Jedynym sportem, który (...) może najlepiej rozwiniąć ciało kobiety są proste prace gospodarcze, wprawiające w ruch wszystkie mięśnie. Nie ma nic pożyteczniejszego dla wzmocnienia nóg i unikania tuszki, jak zbiegać często po schodach. Najlepszym środkiem do rozwinięcia piersi i krzyża jest mycie podłóg oburącz i kłęczący. Zmiatanie wzmacnia mięśnie łopatek, noszenie wiader jest wybornym ćwiczeniem lekkoatletycznym. Kobieta, która plecze chleb i rozczynia ciasto, osiągnie wspaniały rozwój kończyn górnych. Również godnym zalecenia ćwiczeniem jest stanie — godzinami — przy balii, znaczący więcej, niż popchnięcie przy tenisie”.

Taka była koncepcja sportu dla kobiet Dudleya Sargenta, profesora fizyki Wszechnicy Horwarda. Były to początki wieku XX.

Poglądy Polaków też nie były gorzej. Znacznie później, bo już w 1938 roku Eugeniusz Piasecki grzmiał: „Z moralnego punktu widzenia szczególnej wagi jest pielęgnowanie kobiecości z jej odrębnym światem instynktów i uczuć. Należy tu m. in. instynkt wstydu. Kobieta je go z postulatami dostępu powietrza i słonecznego kąpielowania. Rozwiązanie w tym sensie, że boiska zeskic starannie wyodrębniły od męskich i że ćwiczeniem kobiecym bardziej jeszcze niż męskim nie pozwolimy wyodrębnić w widowsko dla płci drugiej ani też w żer dla

reporterów — fotografów żądnych sensacji”.

Wstydu nie miał pan Piasecki, bo głosił swoje herezje w czasach, kiedy nazwiska paru polskich sportmenek znane były na całym świecie. Wszak to dzięki Halinie Konopackiej w 1928 roku na Olimpiadzie w Amsterdamie po raz pierwszy odegrano polski hymn. Na następnych igrzyskach w Los Angeles złoty medal dla Polski zdobyła Stanisława Walasiewicz w biegu na 100 metrów, w Berlinie w 1936 roku srebrny — za rzut dyskiem. A na listach sław światowych w tenisie w latach trzydziestych, stale powtarzało się na czołowych lokatach nazwisko Jadwigi Jedzejewskiej.

Dzisiaj to już historia. Równou-

prawienie kobiet w sporcie poszło tak daleko, że granic rekordów męskich i kobiecych są coraz bliżej siebie, a od czasu do czasu pojawiają się alarmujące głosy męskie: „Biją nas kobiety”. Co po trochu jest prawdą, bo trochę kokieterna, a po trochu chyba autentyczną obawą.

Kiedy francuskim literatem zadano pytanie: „Czy ożeniłby się ze sportsmenką?”, to jeden z panów szczerze odrzekł: „Ożeniłbym się ze sportsmenką pod warunkiem, że nie dystansowałaby mnie w sportach. Wtedy bowiem zbyt cierpliwą byłaby moja miłość własna”. Ów literat nie był odosobniony w swoich poglądach, a mimo że od tej ankiety minęły ponad 4 dziesiątki lat, to miłość własna mężczyzny liczy się tak samo jak wtedy. Niedawno paru światłych panów dyskutowało, czy kobieta może być politykiem. Wyszło im, że nie może. A jeśli nawet jest, to tylko udaje kobietę. Nie ma co się oszukiwać, że „poglądy profesora z Wszechnicy Harwarda śmieją nas okropnie, bo i dzisiaj wiele kobiet nawet ledwie zasłania, że jak kobieta to tylko kuchnia, moda, no i jeszcze dzieci.

A jakie są dziś opinie o kobietach sportsmenkach?”

„Mama w ogóle była przeciwna temu, że zajmuję się sportem. Trudności w nauce nie miałam, więc nie dlatego protestowała. Chodziło jej głównie o to, że sport nie jest rozrywką odpowiednią dla młodej dziewczyny”. „Biegasz tam zebrać na boisku z chłopakami, zupełnie wstydu nie masz”. Wcale ja moje sukcesy sportowe nie cieszył. Wolabiam, żebym siedziała w domu lub zająca się czym innym”.

To już nie lata trzydzieste. To wypowiedź studentki AWF, uzyska-

na w badaniach socjologicznych nad motywami wyboru studiów wychowania fizycznego.

Z innych badań przeprowadzonych przez socjologów sportu wynika, że w czołówce sportowej mężczyzny wysokiej odsetek stanowi młodzież robotnicza. Wśród kobiet natomiast, niemal połowa zawodniczek wywodzi się z rodzin inteligentnych. Najmniej licznie reprezentowane są sportsmenki pochodzenia chłopskiego. Jest to więc jakiś obraz dzisiejszego stosunku poszczególnych warstw społecznych do sportu kobiecego.

„Można by zaryzykować twierdzenie — pisze Barbara Kravczyk w książce „Sport w społeczeństwie współczesnym” — iż tolerancja społeczna wobec udziału kobiet w sporcie zależy od wykształcenia, które neutralizuje sprzeciw i przemianę tradycyjne wyobrażenia o raz stereotypy o roli społecznej kobiety...”

Z ust nam dziś nie schodzą hasła o współczesności, nowoczesności, postępie, równouprawieniu itp. Ale jak tak naprawdę trochę się zastanowić, to przecież tkwi w nas jeszcze sporo przesądów, które zaszczytowo nam i wczoraj i przedwczoraj. Choć się głośno do tego nie przyznajemy, choć może nie zawsze mamy ochotę sobie je uświadomić. Opinie o kobietach sportsmenkach, które tu akurat przystępnie dotychczas pozostawały wielkiej dziedzinie naszego współczesnego życia. Ale czy rzeczywiście daleko odeszliśmy od poglądów pana Dudleya Sargenta?

Przeżyłbym jego wypowiedź kilku znajomym panom. Jeden powiedział:

— No, trochę przesadził. To był najbardziej świątliwy głos.

BOGDA MADEJ



NASZ CHARAKTER NARODOWY

Zagadnienie narodowego charakteru Polaków należy do tych problemów, które nad wyraz często bywają przedmiotem spekulacji, natomiast z rzadka stają się obiektem naukowego badania. Na taki stan rzeczy składa się wiele motywów, wśród których nie najmniej znaczenie zdaje się mieć sama złożoność i delikatność rozważanej materii, niedostatek metod poznawczych, a wreszcie i nasz stosunek do problematyki, nie pozbawiony emocjonalności, skoro, jak słusznie podkreślił prof. Jan Szczepański, my Polacy, jesteśmy „może bardziej niż inne narody uczuleni na sprawę oceny swego charakteru”. Jednakowoż okoliczność, że co się tyczy naszego polskiego charakteru narodowego nie istnieje, jak dotąd żadne systematyczne studia i analizy empiryczne, nie może powstrzymać myśliciela przed podjęciem próby określenia, jaki jest jego kształt „anno 1970”.

Rozważając to zagadnienie socjolog zwrócił się najpierw o pomoc do historii, powróżywszy znane obserwacje o dominującej roli cech szlacheckich dla ukształtowania się polskiego charakteru narodowego, znacznie więcej niż te, które mogły doń wnieść inne kręgi społeczne, mianowicie klasa chłopska, sta-

nowiaca najliczniejszą część narodu, która mogła znaczący swój wpływ na jego charakter dopiero z odzyskaniem niepodległego bytu po I Wojnie Światowej, jak również klasa robotnicza, która mogła to uczynić właściwie dopiero w Polsce Ludowej. „Do 1939 roku — powiada J. Szczepański — jeżeli można mówić o reprezentacyjnych cechach narodu, liczyły się tylko cechy klas posiadających oraz inteligencji, tworzącej reprezentacyjną kulturę narodową”.

Przebieżenie zmian, jakie w tym zakresie dokonały się w latach 1945—1970 więc jeszcze niezaspokojonym badawczym postulatem. Socjolog wskazuje tu jednak na dwie niezmiernie istotne sfery oddziaływań.

Pierwszą z nich jest tradycja historyczna, przenosząca we współczesność modele postaw, ukształtowane w przeszłości i z tej racji traktowana przez J. Szczepańskiego nieco jednostronnie, jako czynnik jedynie „ciężący” nad teraźniejszością. Oddziaływanie jej na aktualną rzeczywistość jest tym silniejsze, że zdaje się ona być u nas bardziej trwała, niż w innych krajach. Trudno nie zgodzić się z poglądem socjologa, że „kto zna polskich dziejów i nie ma klucza do sposobów pojmowania tych dziejów przez Polaków, te-

mu trudno zrozumieć charakter tego narodu”. Właśnie z oddziaływaniem tradycji wiąże więc uczonej takie zjawiska, jak „polskie pojmowanie demokracji jako nieograniczonej wolności działania i mówienia”, „kult indywidualizmu i intelektualnej byskowości”, przede wszystkim zaś „romantyczną postawę walki zbrojnej o niepodległość i wolność”, która tak silnie zaznaczała się w naszych dawniejszych i bliższych dziejach.

„Polska nie miała okresu rozwoju kapitalistycznego w XIX wieku i nie wytworzyła się w niej kultura drobnomieszczańskiej pracowitości, oszczędności, własności i prawa gwarantującego tę własność” — uogólnia J. Szczepański. Okres międzywojennego dwudziestolecia pomimo wszystkich zmian, jakie się wówczas dokonały, nie sprawił jednakowoż jakiegokolwiek odmiany ogólnego systemu narodowych wartości, zaś warunki polskiej egzystencji w latach drugiej wojny światowej w większej mierze go zaktualizowały, niż przyczyniły się do jego odmiany.

Obszar historii nie jest jednak dla socjologa niczym innym, jak tylko pomostem dla refleksji nad współczesnością. Jeżeli można mówić o istotnych przemianach polskiego charakteru narodowego, jakie dokonują się w Polsce Ludowej, dzieje się tak dlatego, że tradycja historyczna spotyka się z nowymi, nie występującymi w przeszłości wartościami, że dokonujące się przemiany wywierają wpływ również na „postawy, kryteria ocen i systemy wartości, wzory postępowania i charaktery”. Jest to druga strona oddziaływania na charakter narodowy, nad którą zatrzymuje się uczonej. I tutaj jego ogólne spostrzeżenia zdają się być szczególnie zapładniające. J. Szczepański stara się trzymać gruntu

socjologicznej empirii, i dlatego za najistotniejszą sferę stosunków, mającą w jego przekonaniu podstawowe znaczenie dla przemian świadomości społecznej we współczesności, uważa rzeczywiste przemiany o charakterze gospodarczym i społecznym. Powiada więc:

„Przez wypowiedzianie życzęć i postulatów, magicznych formuł czy zaklęć, wygłaszanie apeli i przemawianie do rozsądku czy uczucie nie wychowuje się narodu. Naród wychowuje się przez stwarzanie racjonalnej organizacji, w której zapewnia się każdemu człowiekowi realizację jego aspiracji przez realizację ideałów ustroju. Jeżeli człowiek realizując ideały ustroju nie może zrealizować swoich aspiracji, wtedy ta rozbieżność podcina skuteczność metod wychowawczych. Naród wychowuje przede wszystkim sprawnie działająca gospodarka, administracja państwowa, instytucje regulujące życie publiczne; jeżeli one nie realizują postulatów idei, wtedy ideały nigdy nie stają się siłą materialną. Stąd uwaga Polaków zwrócona jest na organizację gospodarki i układy instytucji”.

Kształtowanie nowej świadomości socjalistycznego społeczeństwa dokonuje się bowiem w nieuchronnej konfrontacji z realiami życia społecznego. Nie nie pomoże gadanie aż do zdarcia mikrofonu, jeżeli słów nie potwierdzi życie. I dlatego nasz wspólny wysiłek zmierzający do jego modernizacji ma znacznie szerszy wymiar, niż ekonomiczny. Jeżeli zaś jest on wysiłkiem rzeczywiście wspólnym, dokonującym się pod naciskiem społecznej opinii, zaświadcza o ważkich zmianach społecznej świadomości.

LEKTOR



WĘGIERSKA SAGA

Wśród tytułów Klubu Interesującej Książki znalazła się w bieżącym roku także powieść pisarza węgierskiego zamieszkałego na terenie Rumunii Tibora Ballint „Lkajęca maipa, czyli kalwaria nieżywej rodziny”.

Tym razem zdecydował się na formę powieści — rzeki, sagi rodziny węgierskiej z Siedmiogrodu obejmującej okres od lat dwudziestych po sześćdziesiąte. Jak wynika z tytułu są to dzieła ludzi nie przystosowanych do życia z trudem dających sobie w nim radę. Autor potrafił stworzyć sugestywny i ciekawy obraz życia węgierskiej mniejszości narodowej w Rumunii. Niewątpliwie pomogły mu w tym osobiste doświadczenia.

Tibor Ballint — „Lkajęca maipa, czyli kalwaria nieżywej rodziny”, PIW 1973 r.

PODRÓŻ DO ŹRÓDEŁ CZASU

Kubańczyk Alejo Carpentier należy do najbardziej znanych i najciekawszych tłumaczonego pisarzy Ameryki Łacińskiej. Geneza jego najwybitniejszej powieści „Podróż do źródeł czasu” wiąże się z długotrwałym pobylem autora w Wenezueli.

Jej tematem jest dość często eksplloatowany motyw zniknięcia się człowieka XX wieku z przeszłości. Bohater — znawca pierwotnych instrumentów muzycznych zostaje wysłany z gitarą towarzyszyć w głąb puszczy Orinoko ceniąc zdołać prymitywnych instrumentów indiańskich. Jednak istotą książki są jego przeżycia osobiste i wielka przygoda intelektualna wśród dzikiej przyrody i prymitywnych ludzi. Bogata wyobraźnia autora tworzy piękne opisy przyrody i harmonijnie wkomponowane w nie różnicowane postaci bohaterów. Sensacyjna fabuła stanowi dodatkowy walor tej niezwykle pasjonującej powieści.

Alejo Carpentier — „Podróż do źródeł czasu”, Czytelnik.

JESZCZE RAZ KOPERNIK

Rok Kopernikowski zbliża się powoli do końca. Przyrost on szeregu publikacji poświęconych naszemu wielkiemu astronomowi i jego genialnemu odkryciu.

Ostatnio nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego ukazał się przewodnik encyklopedyczny zatytułowany „Kopernik. Astronomia, Astronautyka”. Redaktorem tomu jest prof. Włodzisław Zonn, który we wstępie stwierdził m. in.: „Historia ludzkości nie byłaby nią, gdybyśmy jej odjęli astronomię”. Zasn przelot w tej nauce wiąże się nierozdzielnie z imieniem Mikołaja Kopernika. Dlatego też jego działalność zajmują w pracy miejsce centralne.

Autorzy przedstawiają fascynującą koncepcję kanonika fromborskiego. Ich echa brzmiały również we współczesnej astronomii, a nawet astronautyce. Omówienie najważniejszych zagadnień wchodzących w zakres tych nauk składa się na treść książki.

Bogato ilustrowany przewodnik (32 strony zdjęć czarno-białych i 8 stron kolorowych) wydano w nakładzie 50 000 egz., który chyba jednak i tak nie zaspokoi w pełni potrzeb.

„Kopernik. Astronomia, Astronautyka”, PWN 1973 r.

LUDOWE WOJSKO POLSKIE

Sześciotomowe dzieło zatytułowane „Polski czyn zbrojny w drugiej połowie XVIII wieku”, opracowane w Wojskowym Instytucie Historycznym, to niewątpliwie jedno z jego najwybitniejszych osiągnięć. Tom III „Ludowe Wojsko Polskie 1743—1745”, który ukazał się obecnie, jest pierwszą próbą syntetycznego i całościowego ukazania historii Ludowego Wojska Polskiego, założeń organizacyjnych, struktury i warunków formowania władz naczelnych, ważniejszych instytucji wojskowych oraz rodzajów wojsk.

Autorzy opracowali zwrócić przede wszystkim uwagę na zagadnienia ilustrujące wysiłek bojowy żołnierzy LWP. Aby ten obraz był jak najpełniejszy, obok najnowszej literatury przedmiotu, wykorzystano relacje i pamiętniki uczestników walk oraz wszystkie dostępne dokumenty z archiwów polskich i radzieckich. Tak niezwykle starannie i pieczołowicie przygotowane dzieło jest niewątpliwie znakomitą formą uczczenia jubileusza 30-lecia LWP.

„Ludowe Wojsko Polskie 1743—1745”, Wydawnictwo MON 1973 r.

MEKSYK I REWOLUCJA

Za przełomowy moment w historii Meksyku uważane są wydarzenia 1910 roku — obalenie wieloletniego dyktatora Porfirio Diaza. Ten burzliwy okres inspirował wielu twórców. Najwybitniejszym z nich jest Mariano Azuela, uznany za ojca powieści rewolucyjnej Z autentycznych przeżyć i obserwacji autora, który uczestniczył bezpośrednio w walkach jako lekarz oddziałów partyzanckich, zrodził się jego najświetniejszy utwór pt. „Gniew”.

Powieść ta przedstawia w sposób obiektywny wycinek pierwszego okresu rewolucji. Bez fałszu pokazani są zarówno dowódcy jak i prosti żołnierze, a także inni przedstawiciele krzywdzonego i pozbawionego praw narodu. Jest to więc w pewnym sensie eposu rewolucjonistów i nierewolucjonistów, całego społeczeństwa widzianego w przełomowym okresie dziejów.

Ta należąca już do klasyki, niezwykle interesująca, pełna dramatycznego napięcia, a zarazem wybitna artystycznie i bardzo prawdziwa powieść, stanowi początek nowego prądu w literaturze meksykańskiej.

Mariano Azuela — „Gniew”, Wydawnictwo Literackie 1973 r.

WARTO PRZECZYTAĆ

ROCZNIK LITERACKI 1971 — PIW, cena 70 zł.
JANUSZ MACIEJEWSKI — „Czytamy wiersze”, LSW, cena 35 zł.

JANUSZ MEISSNER — „Mile złego początku”, Wyd. Literackie, cena 30 zł.

ANATOL STERN — „Dom Apollinaire’a”, Wyd. Literackie, cena 50 zł.

KAZIMIERZ SAYSS-TOBICZYK — „Parki narodowe w Polsce”, Interpress, cena 200 zł.

JANUSZ KRASIŃSKI — „Haracz szarego dnia”, Czytelnik, cena 17 zł.

ALMANACH MŁODYCH, Iskry, cena 30 zł.

LUDOWE WOJSKO POLSKIE 1943—1945, MON, cena 90 zł.

TADEUSZ KONWICKI — „Nie albo nic”, Czytelnik, cena 24 zł.

ANNA KAMIENSKA — „Poezje wybrane”, Czytelnik, cena 30 zł.

MARIA RODZIEWICZOWNA — „Wrzos”, LSW, cena 30 zł.

STANISŁAW DYGAT — „Podróż”, PIW, cena 15 zł.

STANISŁAW DYGAT — „Pożegnania”, Czytelnik, cena 13 zł.

JAN LECHOŃ — „Poezje”, PIW, cena 20 zł.

SERGIUSZ JESIENIN — „Poezje”, PIW, cena 25 zł.

FILM

NA WIELKIEJ WOJNIE

Wśród przedstawionych tygodni temu pozycji tegorocznych Dni Filmu Radzieckiego był film, do którego pragnę dziś powrócić. „TAK TU CICHU O ZMIERZCHU” Stanisława Rostockiego oglądali już wcześniej uczestnicy ostatnich Konferencji. Znalazł się ten film w programie Konfrontacji nie bez przyczyny. Był już pozycją głośną, uznaną przez czytelników najpopularniejszego w Związku Radzieckim czasopiśmie filmowym „Sowiecki Ekran” za najlepszy film 1972 roku. Niedługo potem uzyskał pierwszą nagrodę na VI Wszzechzwiązkowym Festiwalu Filmowym w Alma-Atie. Głosy publiczności i głosy fachowców-jurorów okazały się zgodne, co, jak wiadomo, nie jest rzeczą zbyt częstą. Prawdopodobnie i nasza publiczność film „Tak tu cichu o zmierzchu” przyjmie z uznaniem, bo jest to publicystyka, która przed laty zachwycała się „Balladą o żołnierzu” i filmem „Lea żurawie”. Pisze o możliwości tej w trybie przypuszczającym, gdyż przed rokiem ta sama publiczność nie dostrzegła przepięknego filmu Igora Szatrowa „Minuta milczenia”. Nie będzie tu już przypominać smutnych dzieł filmów „Trzeba przejść

przez ogień” oraz „Początku” Gleba Panfilowa, jako że inna ich problematyka może służyć innym przyczyn obcojęzycznej. Jedno jest pewne, wspomnianie tu przykłady są wyjątkowo jasnym dowodem nieufności widzów wobec opinii krytyków filmowych.

Powróćmy jednak do filmu „Tak tu cichu o zmierzchu”, który na pewno nie jest dziełem tak doskonałym jak klasyczne dziś już filmy Czuchraja i Kalatozowa, lecz który z ich głębi wyrasta. Gdyby Stanisław Rostocki miał te wiary, co jego poprzednicy, uwierzyłby, iż deklaracje o pamięci lat wojny są zbledłe, gdyby miał odwagę Szatrowa z pamięci tej uczyniłby, tak jak tamten w „Minucie milczenia”, temat filmu, a nie jego mało przekonująca oprawa. Gdyby go było nie podkusiło, a szefowie nie dali kolosowej taśmy, szczytność z okliwio-sentymentalnych partii retrospektywnych, psujących surowe piękno całości. Gdy zaś widowie zapomną, a na szczęście szybko tak się staje, kolorowe (za dosłowność określenia jest uzasadniona) partie filmu, w pamięci ich zostanie piękna i wstrząsająca opowieść o pięciu dziewczętach i ich

dowodów w przeciwnym odrodzeniu na tyłach frontu.

Film „Tak tu cichu o zmierzchu” jest utworem niezwykłym jeśli nawet uznamy, że ukazany w nim obraz prostych, szeregowych ludzi, z bohaterstwem biorących na siebie odpowiedzialność za losy Wielkiej Wojny jest znany z wielu, często artystycznie wybitniejszych filmów. Ta niezwykłość filmu wynika z rzeczy na pozór niezwykle prostej, z wyboru bohaterów. Udziałowi kobiet, ich bohaterstwu w czasach ostatnich wojny poświęcono wiele miejsca w twórczości artystycznej. Kobiety-matki pomagające swoim i obcym synom, kobiety przy boku mężczyzn na froncie, kobiety-konspiratorki, kobiety wykonujące prace za tych, co poszli na front, kobiety czekające i oplakujące swych zmarłych — wszystko to w filmach było, bo taka była prawda wojny. Ale chyba po raz pierwszy w tym filmie pokazano walkę i śmierć walczących kobiet z całym straszliwym naturalizmem walki i umierania. Kobiety brną przez bagno, zapadają się, nadciągają wysiłkiem brną dalej, boją się i zabijają w walce okrutnej, w której stawka jest już większa niż własne życie.

Są w filmie Rostockiego sekwencje i sceny, które mają w sobie coś z poetyki westeru, lecz nie o prosty zabieg kina popularnego tu chodzi. Wielka, męska gra seiganych i ścigających, zabijanych i zabijających, walczących do ostatka i wszystkimi możliwymi sposobami oraz umierających w okolicznościach najstraszliwszych stała się udziałem kobiet. To nie chwył, nie pomysł, to okrutna prawda narzuconych przez wojnę okoliczności. Scenarzy — autor po-

wieści, według której film realizowano, Boris Wasiliew, reżyser i aktorki odwarzające role dziewcząt obdarowali je wszystkim atutami kobiecości, by tym dramatycznie ich niekobiecość działała i losy wydobyc. Pięć dziewcząt i ich wasaty dowódcy przeciw szesnastu niemieckim komandosom — trzeba na to było wiedzy o ludziach i wojnie, by stało się to wiarygodne, by szaleństwo stało się prawdą. A film Rostockiego jest wiarygodny. Przynosi jeszcze jedno wyłumaczenie zwycięstwa Wielkiej Wojny Ojczyźnie, o którym decydowały nie tylko gigantyczne operacje militarne, lecz udział tysięcy, często anonimowych ludzi, walczących w bitwach, których nie odnotowywały oficjalne komunikaty.

„Tak tu cichu o zmierzchu” sięga do dowodów ostatecznych, gdyż ukazuje zachowanie odwiecznego porządku świata, w którym kobietom i dzieciom zawsze w wojnach przychodziło cierpieć i ginąć, ale walcząc ze sztyltem i karabinem w rękę — rzadko. Rozumiał to także prosty, mądry człowiek, który dowodził gromadką dziewcząt, dlatego jego rozpacza i determinacja pozwoliły mu dokonać czynów przekraczających zdawałoby się możliwości jednego człowieka. Czynów, które jednak nie uratowały jego dziewcząt. Postać ta w filmie znakomita, niosąca w sobie cały gniew i zdumienie świata. Niepotrzebne zatem były w filmie Stanisława Rostockiego wszystkie przydane mu deklaracyjności. Pamięci świata potrzebne są tylko losy bohaterów tego filmu.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

SZARY CZŁOWIEK W SALONIE

W amerykańskiej telewizji od lat idzie program, którego wielka i niezmienna popularność zasadza się na bardzo zdradliwym koncepcie. Bohaterem każdej kolejnej audycji jest znana osobistość świata polityki, nauki, sztuki itp. W każdym razie „musi” to być człowiek, który cieszy się sławą i spektakularnym sukcesem życiowej kariery. Jest to konieczny warunek, aby zaprosić go do udziału w omyślnym programie. Posiadający przed kamerą, z twarzą ukazaną bez przerwy w zbliżeniu, zostaje poddany lawinie pytań, które zadaje dziennikarz niewidoczny na ekranie. Pytania dotyczą najrozmaitszych spraw i wymagają orientacji w wielu dziedzinach życia. Dowcip polega głównie na tym, że są formułowane nie wprost, podstępnie, ironicznie i agresywnie. Od indagowanego, którego oblicze nie jest ani przez chwilę spuszczone z wizjera kamery wymaga się nie tylko odpowiedzi prawdziwych, ale również oryginalnych i z refleksją, oryginalnych point i poczucia humoru. Do tego bowiem zobowiązuje zajmowana przez niego pozycja w życiu publicznym. Podobno liczone są przykłady tych, którzy w tym morderczym quizie — wywiadzie kompromitowali się doszczętnie. Jaką się i bełkoć, spadali z Olimpu. U źródeł wspomnianej popularności tego programu leży

psychologiczne prawo, które każe ludziom zatrzymać się na ulicy i obserwować przydarzające się im wypadki. Ta próba telewizyjnego ekranu polegająca na psychicznej wiwisekcji, na częstokroć sensoryjnym dobiegnięciu się do ludzkiej prywatności w sytuacji zagrożenia jest niewątpliwie pomysłem okrutnym. Jest telewizyjnym ringiem, wokół którego zebrała gawiedź żąda nokautu.

Tymczasem w polskiej telewizji istnieje salon. Bywają w nim również politycy, naukowcy, artyści, sportowcy, czasem bohaterowie jednego dnia, o których się aktualnie mówi. Panią domu jest Irena Dziedzić, a salonem panują wytworne maniere, które forsują pani domu i w ogóle jest stylowo. W tej konwencji jest utrzymana scenografia złożona z secesyjnych mebelków i wyszlakowanych bibelotów. Całości widać dodają wazony pełne kwiatów, starannie komponowane w kadrze. Kto odwiedza to gustowne wnętrze? „Ci, których znacie, ci, których poznać chcecie i ci, których poznać powinniście” — głosi programowa dewiza. Formuła audycji polega na cyklu prezentacji tzw. ciekawych ludzi, z którymi zawieramy bliższą znajomość w serii wywiadów. A zatem kryterium zaproszenia do salonu nie rzadzi mitologia suk-

cesu, bowiem słowo „kariera” posiada u nas odciętą zdecydowanie wrogi, lecz zapraszani są ludzie, których działalność ma społeczny sens i którzy potrafia o tej działalności sensownie mówić.

Pani Dziedzić jest rozmówczynią pełną konwersacyjnej inwencji, i przechodząc od jednego interlokutora do drugiego z dyskretnym karnekiem w rękę, potrafi znakomicie dostrzelić się do zmieniającego się tematu rozmowy i jej kolejnego bohatera. Audycja jest zajmująca nie tylko dzięki pomysłowości jej autorki i jej osobistemu urokowi, ale również dlatego, że w wypadku rozmów z ludźmi znanymi z oficjalnych ról społecznych i funkcji ekspozuje ich prywatny styl bycia. Staje się niekiedy medalem osobowości. Zdarza się to jednak nieczęsto, bowiem konwenans rozmowy i jej temat, a także trafiający się niekiedy szablon pytań dyktują nudo.

Salon jest miejscem spotkań nie tylko ludzi znanych i uznanych. Ostatnimi czasy zagląda tam również szary człowiek. Wywiady z szarym człowiekiem — jak przekonał się ostatnio Michał Radgowski w „Polityce” — są zajęciem trudnym i niewdzięcznym (chyba, że szary człowiek jest szarą eminiacją). Tu już trudniej pani Dziedzić nawiązać kontakt i jej wysiłki przypominają dialog Radczyńskiego z Klimką na temat jesiennych siewów. Mimo to bohaterem ostatniego „Tele-echa” został właśnie szary człowiek. Trudno zastanowić się jak doszło do odkrycia i zaproszenia tej fascynującej dziewczyny z głuchej prowincji. Jest to tajemnica dziennikarskiego warsztatu. W każdym razie tych kilka minut, które wypełniła sobą były psychologicznym seansem o rzadkiej w telewizji intensywności doznań. Autentyzm charakteru i przejmująca pasja, z jaką pragnie wyrwać się ze swojego

zawistnego i zapyziałego środowiska ta dziewczyna, która ciężką pracę w osieroconym przez ojca gospodarstwie potrafi pogodzić się z wyszukanymi zainteresowaniami intelektualnymi promieniowały niezwykle silną moralną. Ten zaprawiony gorczyczą wywiad nieco odbiegał od panującej w salonie atmosfery „rozlewności towarzyskiej”, gdzie „nikt nikogo nie osiąga, nikt nikogo nie obraża”. Wrażenie szczególnej dramatycznej tego psychologicznego zdarzenia pogłębiał fakt, że program był emitowany „na żywo”. Oto na naszych oczach została wyraźnie przełamana konwencja ogólnego comme il faut przez nie zafaloszony żywioł ludzkich tęsknot, marzeń i wzruszeń ukazany na margesie dla milionów, jaką jest ekran telewizyjny.

Objawienie autentycznego ludzkiego fenomenu i analiza jego psychologicznych zachowań stanowiła wspaniałą, specyficzną telewizyjną możliwość stwarzania nieoczekiwanych, wartościowych napięć emocjonalnych u telewidza. Jego stopniowa wrażliwość rzadko doznaje takich impulsów. Kino przegrywa w tym wypadku z telewizją dzięki dalszej posuniętej interwencji inscenizacyjnej i dzięki brakowi tej cudownej synchronizacji działania się i przekazywania, która możliwa jest tylko w telewizji. Cóż, kiedy podobne sytuacje pojawiają się w przypadkach i spontanicznie, na zasadzie bezcelowego wtargnięcia w zaprojektowany scenariuszem porządek. W programie, o którym mowa scenariusz przewidywał wykonanie piosenki „Caly świat nabral barw”. I aby nie było nam zbyt smutno wrócić do powrotu do znajomego banału.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIAŻKA

SPOD LADY

Rok Kopernikański przyniósł jak dotąd obfite żniwo wydawnicze, ale złożyły się na nie — trzeba to powiedzieć — w większości publikacje bądź to powolnego wertowania, bądź też do poglądania efektywnie wykonanych reprodukcji. Z czystym sumieniem mogę jednak polecić Czytelnikom do przeczytania książkę, wydaną przez olsztyńskie „Pojezierze”, której już sam tytuł stanowi w pewnej mierze zachętę do lektury: „Prywatne życie Mikołaja Kopernika”. Na ten temat zda się można powieść dość bardzo niewiele, ale autor, Jerzy Sikorski, zadał sobie niemały benedyktynski trud i niezwykle dokładnie zbadał raz jeszcze wszystkie tropy wielkiego astronoma na Warmii, pieczołowicie zgromadził wszystkie dostępne, najdrobniejsze nawet, realia jego codziennej egzystencji, tak że z książki wyłania się portret Kopernika doskonale wiopiony w 16 historię jego, obyczajowe, ludzkie, które go

otaczało. O atrakcyjności lektury świadczyć mogą tytuły niektórych podrzdziałków: „Dom na skraju wzgórza i trzeźwe rachunki kontraktów”, „Niebo za 175 grzywien”, „Wieża w dziedzińcu nie wie warta”, „Obserwatorium wśród grządek warzywnych”, „Instrumenty nie znoszące wilgoci”, „Przepadł dom, lecz niebo zostało”.

W kolekcji książek PIW-u, tropiących na przestrzeni wieków sprawy polskiej tradycji, kultury i obyczajów, książek, w których równorzędna obok tekstu rolę odgrywa pięknie wyposażone ilustracje, ukazała się praca Alojzego Sajkowskiego „Włoskie przygody Polaków”. Jest to tom szkiców opartych na listach i pamiętnikach pisanych w okresie od końca XVI do początku XIX w. Szkice te w znacznym jednak stopniu posługują się fragmentami oryginalnych diariuszy, dzięki czemu czytelnik może popatrzyć na Italję oczyma polskich peregrynantów sprzed 300—400 lat.

Atrakcyjność tych relacji każe zadać pytanie: czy równie frajdujące mogą okazać się nie wykorzystane dotąd materiały, pochodzące od włoskich korespondentów, których liczna rzesza przemierzała przecież wzdłuż i wszerz terytoryj Rzeczypospolitej Obojga Narodów?

Zasygnalizujemy dwie rzeczy z dziedziny sztuki. Nakładem „Arkad” ukazał się w 50 000 nakładzie album „Jan Matejko”. Otwiera go rozprawa wstępna o malarzu pióra prof. Juliusza Starzyńskiego, ale zasadniczym składnikiem książki jest obszerny, obejmujący 268 zdjęć, zestaw reprodukcji. Będzie więc wreszcie nad czym dyskutować o malarzu, który jest i w sztuce i w ideologii postacią kontrowersyjną, ale „nie ma nikogo, a zwłaszcza nie ma chyba ani jednego Polaka, który wobec twórczości Matejki mógłby pozostać obojętny”.

To samo Wydawnictwo wystąpiło z godną pochwały inicjatywą publikowania w książeczkach formatu kieszonekowego swoiście pomyslanej „Małej Encyklopedii Sztuki”. Otwierające serię cztery pierwsze tomiki poświęcone są aktom Renoir'a, ostatniemu o kresowi twórczości Van Gogha w Auvers, okresowi błękitnemu i różowemu Picassa oraz aktom Modiglianego. Na uwagę zasługują nie tylko świetnie napisane krótkie wstępki, ale także znakomite barwne reprodukcje, które wykonane zostały we Francji, albo-

wiem cała seria powstaje w koprodukcji z paryskim wydawnictwem Fernanda Kazana.

„Pisane w Rothsay” — to żywo, komunikatywnie skrócone wspomnienia Tadeusza Godziszewskiego, oficera rezerwy. Za wspomnienia te, opublikowane w 1943 r. w polskiej prasie londyńskiej, autor otrzymał nagrody naczelnego wodza i „Wiadomości Literackich”. Pamiętniki obejmują dwa etapy wojennej drogi autora: kampanię wrześniową, którą odbył w stopniu porucznika rezerwy oraz wędrówkę do Francji przez Słowację, Węgry i Włochy. Dalsze wojenne losy autora streszcza w interesującym postuluwii sn, Jerzy Godziszewski, który towarzyszył ojcu w ryzykownej eskapadzie do Francji.

Ze wznowień odnotujemy III już edycję bardzo potrzebną, starannie wydaną przez PWN „Przewodnika operowego” Józefa Kańskiego. Ta podręczna książka dostarcza najważniejszych informacji (streszczenia akcji oper, omówienia ich muzyki, dane faktygraficzne) o 173 dziełach, polskich i obcych, które należą do stałego repertuaru naszych scen operowych.

JAN OKOPIEN

MAGAZYNEK



BRACTWO KURKOWE

Tak się nazywa popularny w kraju i za granicą zespół Piotra Janczerskiego. „Bractwo Kurkowe” ma już za sobą świetny program wokalo-muzyczny „Pejzaże polskie”, aktualnie w Teatrze Piosenki prezentuje inny, nie mniej interesujący recital: „Życie — Miłość — Folk”. Zarówno longplay jak i kasetę z nagraniem „Pejzaży polskich” rozeszła się wśród miłośników muzyki błyskawicznie. W utrwaleniu na płycie fragmentów „Pejzaży” (long ukazał się pod nazwą „Polskie dzwony”) udział wzięli: Piotr Janczerski, Zbigniew Nowak, Janusz Hryniewicz, Ryszard Godyn i Krzysztof Murk.

Celem działalności artystycznej Teatru „Bractwo Kurkowe” jest prezentowanie eksperymentalnych programów — widowisk, opartych na połączeniu trzech elementów: światła, dźwięku i poezji. Tak było w „Pejzażach polskich”, tak jest w widowisku „Życie — Miłość — Folk”, tak będzie zapewne w nowym programie, przygotowywanym przez „Bractwo Kurkowe”. Przymiotnik „eksperymentalny” w odniesieniu do tego zespołu po blisko trzech latach działalności, stracił już chyba sens. Jest to po prostu dobry teatr piosenki, prezentujący dobrą muzykę.



W WALCE O FILMOWE SPOJRZENIE

Obok nas bujnie klebi się rzeczywistość. A jakże często, my, osowiali, z nosem do Ziemi, nie raczymy nawet tego zauważyć. Panie i panowie, a gdyby tak nieco baczniej-faktywniej? Spróbujmy, tak jak pracownicy filmu, spojrzeć na życie w inny, twórczy sposób... Bacznie i po nowemu rozejrzmy się po naszych biurach i zakładach pracy. Oto nasz Dyrektor. Ten chód, ten głos, to czoło — przeciw wprost wymarzony do roli, powiedzmy, Cezara. A to jego Zastępca, lisek taki, drobny, nie za bardzo przystojny — ale też przecież kogoś tam mógłby w filmie zagrać. Albo pani Księgowa. Twarz może nie najlepsza, ale zgrabna jeszcze bestia... Umów-

graficznych. W związku z tym popularna jest w tamtych stronach następująca anegdota: Na ulicy spotyka się dwóch Finów. „Oczywiście: „Dzień dobry!” „Dzień dobry!” „Widziałem wczoraj w kinie twoją żonę!” „mówi pierwszy. Drugi coś odpowiada, nieważne co. Na to pierwszy: „Ale na ekranie! Ha, ha, ha!” Ha, ha, ha!”

Z RODZIMEGO PODWÓRKA

W czasie badań nad taśmą filmową odkryto, że film puszczony w odwrotnym kierunku jest znacznie zabawniejszy, niż puszczony w kierunku właściwym. Zaś przyspieszenie ruchu taśmy znacznie jeszcze ten efekt potęguje. Cóż za pole dla komedii! Obecnie przeprowadza się próby, puszczając film w odwrotnym kierunku i znacz-

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...”

K. I. G.

my się z nią wieczorem i przy kieliszku koniaczku zapróbnijmy jakąś rolę. Oczywiście, kolidy budowlani, wy macie gorzej. O tej porze, na budowie wszyscy już ciepło ubrani, trudniej człowieka rozpoznać i rozgrzyć. Ale od czego wyobraźnia filmowa? Rozbijmy ich w tej wyobraźni... Często bezczynnie gapimy się z okien naszego biura. Widok wydaje się nieciekawym: płot jakiś, kaluże, Syrenka stoi. A gdyby tak kilka palm posadzić, wodotrysk puścić, Syrenkę na bok przewrócić? I już jest to do ciekawego filmu! Życie jest piękne i ciekawe, trzeba tylko umieć patrzeć w filmowy sposób.

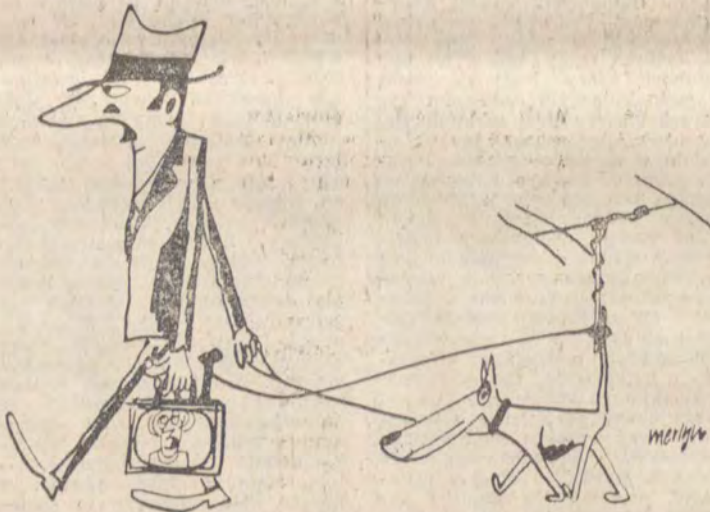
ZE ŚWIATA FILMU

W Akari, stolicy młodego państwa afrykańskiego, cena biletu do kina jest równa cenie młodej żony. I rzecz ciekawa: tubylcy chętniej jednak kupują żonę niż bilety kinowe. Pod Londynem, w miejscowości Linstad, otworzono wczoraj pierwsze kino dla jakających się. Siedzą sobie oni w miękkich fotelach i wreszcie nikt się z nich nie natrąca. W Finlandii niepokój rośnie nie produkcja filmów porno-

nie przyspieszając ruch taśmy, przed widzem siedzącym tyłem do ekranu. Ktoż z nas nie chciałby być tym pierwszym, historycznym widzem...

KURS DLA SCENARZYSTÓW. ODCINEK I.

Olóweczki gotowe? A więc zaczynamy, Drodzy Moi! A od czegoż by tu zacząć, jak nie od P O M Y S Ł U! Pomysł scenarzysty, to ów błysk w ciemności, od którego pracę zaczynamy. Bardziej wprawieni potrafią wprawdzie pisać bez pomysłu, no, ale my na razie jeszcze tego nie umiemy. Są szkoły, które wręcz twierdzą, że dobry pomysł jest ważniejszy, niż cały scenariusz!!! Rozprawy się z nimi prostym argumentem: Honorarium za kiepski scenariusz jest wielokrotnie większe niż za najgenialniejszy pomysł. A my nie będziemy się wstydzili pobierać pieniądze za nasze pisanie. Paletko na zimę by się przecież zdało. Syrenka też nie wadzi. Jak przychodzi pomysł? Uzależnione to jest od psychofizyki, ale zwykle nagłe — w wannie, w łóżeczku, w sklepie itp. Proszę do następnego odcinka ćwiczyć szukanie pomysłów.



POWIĘKSZENIA

PYTANIE MIESIĄCA

Najbardziej frapującym pytaniem dla łódzkich gazet: „Głos Robotniczy”, „Dziennik Łódzki” i „Expressu Ilustrowanego” było: „DLACZEGO AZJATOM NIE GROZI ALKOHOLOWIZM?”

Proste. Nie piją najlepszej wódki — polskiej.

CZÓŚ MOTOREM POSIĘPĆ

I w tym samym, październikowym numerze informuje, że „w drugiej giełdzie projektów wynalazczych; (...) zgłoszono — 31 projektów, zakupiono — 11 projektów.”

Motorem może i jest, ale na baterijkę.

ZAMIANA

W rubryce „W kraju” z tygodnika „Polityka” czytamy: „Zmianou dyrektora Kombinatu obuwicznego „Radoskor”... Postulowaliśmy: „Potrzebne są gruntowne zmiany w podstawowych zasadach „Radoskoru”... Nowym dyrektorem „Radoskoru” został szef Łukowskich Zakładów Obuwia”.

A w następnej notce: „Listę niesolidnych przedsiębiorstw ogłosiło Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług. Znalazły się na niej m. in. Łukowskie Zakłady Obuwia.”

Zmienił strzykę siekierkę na kijek.

MIGRENA

W warszawskiej gazecie, w artykule prof. Wł. Króla przeczytaliśmy: „Bóle migrenowe występują aż u 5 procent populacji, nie wykazując przy tym żadnej zależności od czynników społecznych, ekonomicznych czy intelektualnych.”

Nie dość, że człowieka boli głowa, to jeszcze wymyślają mu od populacji.

MOTOR

„Informator” — organ zarządu Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Bojowników Rewolucji 1905 roku „Pamotex” w Pabianicach popularyzuje ruch wynalazczy hastem: „WYNAŁAZ-

POMYSŁOWOŚCIOWCY

„Informator” pabianickiego „Pamotexu” ogłasza: „Uwaga! KONKURS na wybór nazwy dla Zakładowego Sklepu Branzowego w Pabianicach. Szczegóły w następnym numerze „Pomysł” i przystąpić do konkursu.”

Pomyśleliśmy. Przystąpiliśmy. Czekamy na nagrodę. Szczegóły nas nie obchodzą.

POD GÓRKĘ

„Ziemia Łęczycka” Reporiż, Autor: JIW. „Idziemy dalej tropem chorego, który przygotowuje się do wyjścia ze szpitala i trafia do królestwa mat, sprężyn, narządów i przyrządów. Posród nich króluje Barbara Grabska. Właśnie tutaj spróbowaliśmy sami jazdy na „rowerze”, służącym do rozruszania stawów, czy mięśni chorego, który spędził wiele dni w łóżku. Rehabilitacja.

— Z górki, czy pod górkę? — pyta B. Grabska. — Oczywiście pod górkę, przecież jesteśmy zdrowi. Pedalowanie na tym „rowerze” idzie łatwo. Ale niezbyt długo, mięśnie męczą się od nadmiernego wysiłku.”

FENOMEN

Ogłoszenie z „Dziennika Łódzkiego”: „Bokserska — ołbrzymia, ładnego (odróżnia kolory i lizy) sprzedam.”

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

PATRICK WHITE

WIWISEKCJA

— Jeżeli jesteś głodna, mogę otworzyć puszkę ze śledziami — powiedział. — Mam także bochenek dość świeżego chleba. Mruknęła niewyraźnie i odrzucając propozycję otarła się głową o jego ramię. Zachowywała się jak ktoś ogłupiały od ciężkiego posiłku i od snu, w który potem zapadła. Prawdopodobnie jednak od pierwszego śniadania, a może od wczorajszej kolacji nie miała nic w ustach. — Śledzie w sosie pomidorowym to niezbyt pójne menu, ale dadzą się zjeść bez fatygi i straty czasu. Można by myśleć, że Duffield mówi do siebie w pustym pokoju, gdyby ona nie odpowiedziała mu znów zwierzęcym, nieartykułowanym pomrukiem. Nie mógł jej namówić na jedzenie, chociaż przyszła taka zgłodniała, że gdy drzwi od ulicy zamknęły się za nią, natychmiast rzuciła się na niego, popchnęła go gwałtownie w jakimś nieokreślonym kierunku, dopóki nie zderzył się z wysłanym oparciem starej zakurzonej kanapy, odbijając się od kantu potraconej etażerki. W pewnej chwili, zarażony jej głodem, przejął inicjatywę. Gdyby nie brakowało mu tehu, chętnie by wylumaczyl: tak, przyszła do mnie i teraz już nie ma powodu, aby odróżniać rane, południe, wieczór, jeżeli tego cheemy. Ale sam już także był zgłodniały, więc skubał wargami, gryzł, potem próbował polknąć płatek jej rozpalonego ucha. Na skrzyjących schodach nie byłoby niespodzianka ani rzeczka możliwa do uniknięcia, gdyby w swej żarłoczności wylamała chwyciła poręcz i spadła na dół, na podłogę hallu. Ale tylko obracali się w kółko lub zsuwali się, przysiadając, objając się boleśnie o drewniane stopnie. W pewnym momencie o mało nie zerwał jej podwiązek.

Jel język niby korkociąg usiłował wyciągnąć z jego gardła reszki wyimaginowanego oporu, jaki stawiał jej pragnieniu. Stopy pokryły się, tepę, bezrozumne, wzbijając kurz, tak że oboje wreszcie zaczęli kaszleć.

— Hero? — wykrzyknął bez sensu, bo ona straciła teraz zwykłą tożsamość, a ta, którą przybrała, była bezimienna.

Kiedy wspinali się po schodach, jej palec, szpony przebiegaly po jego żebrach jak po szczeblach. Potem, jakby osiągnąwszy szczyt, zwiasta, zwłoczała, przywierając do niego tylko lepkiimi ustami i brzuchem. Ale gdy stali już na podeście niby nad przeościa, gdy mogli lada chwila słoczyć się z powrotem tam, skąd przyszli, podtrzymali ich serea, bijące nie zgodnie, co byłoby zgubne, ale na przemian, także gdy jedno ustawało, drugie podtrzymywało jego prace.

Nogi pod nimi wzniały się i drżały. Duffield czuł chłód w zieleciu kołan, zdawało mu się, że ich kości są cienkie i kruche. Teraz był raczej spragniony niż głodny, reszka śliny zaschła mu w ustach, wyrzępała się, kiedy obróbowali wypić siebie nawzajem do dna. Wierzeł tak stali na podeście, zaczął rozgniatć jej piersi, szukając pod skórą żywego ciała wonnego, perlistego soku, mógłby nawet jednym haustem wciągnąć leż gorzkie pestki, aby je wyssać i wypuść. Ale nim poznał smak drobnych, elastycznych sutek, ona krzyknęła: — Co robisz! To boli! Jesteśmy jak zwierzęta.

— Tak, Hero. Chodź tutaj.

Nie zamierzał jej wprowadzać do tego pokoju, ale nie było tak. Jak sobie z góry wyobrażał: na przykład czysta dusza, niewinne dziecko, zdeformowane albo gnijące już w łonie matki.

Zrucili ubrania w pokoiku od dziedzica, gdzie nie zamierzal jej wprowadzać. Szelest zimnej powłoki materaca przepływał ich nabrzmiałymi żyłami, rzemieńne gwiazdki odciskały piętna w ich tonięcej skórze.

Chwilami śmiali się oboje i Duffield próbował zgnać, co ich pobudza do śmiechu. To pewne, że ich miłość towarzyszyła czasem śmieszne odgłosy. Żądza przybierała groteskowe postacie. Tak, sa w akcie miłości momenty przesyty. Miłość! To z niej śmiali się, ale zaraz potem cichli wstrząśnięci i znów żeby zwierzyli się z zębami. Nie mieli się gdzie schronić, patrzeć sobie w oczy nie znajdowali głębi, w którą można by zapasć, lecz tylko odzwierciedlenie miłosnych pól.

Żądała najbardziej zdeprawowanej pieszczoty i gdy pobiegła potem boszo szukać łazienki, nie udzielił jej żadnych wskazówek ani rad, pewny, że instynkt wszystkich jej podpowie; trafi do łazienki, gdzie jest wanna z brunatną pianą na dnie i miska kłozetowa cuchnie francuskim pensjonatem, kropki grysyzpanu zielenią pod gazowym piecykiem. Jej demon z tym wszystkim sobie poradzi. Zaslonił ramieniem oczy i drugą rękę trzymając na podbrzuszu czekał na jej powrót.

Zdawało się, że wieki całe przepalił obok siebie na wilgotnym materacu. Kiedy się zbudził, zauważył, że jego własne ciało, chociaż silnie umięśnione, wydaje się bardziej bezbronne niż ciało Greczynki, bo jest bielejsze, bardziej przez to nagie. Rzadko pamięta się o znakach po szepconej ospie. Na jego ramieniu białe, spoiniałe blizny wyglądały, jakby miały odpasć w końcu tak, jak dawno odpadły strupy; ale na jej terakowej skórze wypalone piętna były trwałe, odkopany po tysiącu lat posąg dawaby świadectwo „cywilizacji”.

Obróciła się i piersi jej były jak dwa wygaste wulkany do których nie chciał się zbliżyć, aby nie wybuchnęły na nową zatapiając go lawą.

— Wtedy właśnie powiedział: — Jeśli jesteś głodna, mogę otworzyć puszkę śledzi.

(fragmenty)

Humaczyła: MARIA SKIBNIEWSKA

Patrick White (ur. 1912), najwybitniejszy pisarz australijski, laureat tegorocznej literackiej Nagrody Nobla, „Wiwisekcja” to biografia australijskiego malarza, bez reszty oddanego sztuce.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 2535. T-4, Nr indeksu 37006